

MEYRINK
GUSTAV

GOLEM

Meyrink Gustav

Golem

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23523258

Golem:

Аннотация

Praga, przełom XIX i XX wieku. Podczas zwiedzania zamku królewskiego mężczyzna znajduje kapelusz i zabiera go, by zwrócić właścicielowi, Atanazemu Pernatowi, podpisanemu na metce. Kolejny poranek to już początek historii Pernata. Mężczyznę, mieszkańca praskiego getta, odwiedza tajemniczy przybysz, staromodnie ubrany, o twarzy, której nie sposób zapamiętać. Daje mu do naprawienia Księgę Ibbur, którą Pernat zaczyna czytać. Wkrótce doświadcza wizji i zaczyna gubić poczucie własnej tożsamości... Golem Gustava Meyrinka nawiązuje do żydowskiej legendy o golemie, czyli glinianej – ale możliwej do ożywienia – istocie ulepionej na kształt człowieka. Powieść wydana została w 1915 roku. To utwór często porównywany z Procesem Kafki, egzystencjalistyczny, mroczny i mistyczny.

Содержание

Sen1	5
Dzień	9
J29	20
Praga	28
Poncz79	47
Noc	69
Jawa	88
Конец ознакомительного фрагмента.	100

Gustav Meyrink

Golem

Golem – w legendach żydowskich istota stworzona na podobieństwo człowieka, zazwyczaj z gliny, żywa lecz pozbawiona duszy i dlatego posłuszna poleceniom człowieka, który ją stworzył. Stworzenie golema wiązało się z powtórzeniem Boskiego procesu kreacji. [przypis edytorski]

Sen¹

Światło miesiąca² spłynęło w nogi mojego łóżka i rozpostarło się jak wielki, jasny, płaski kamień. Gdy pełnia księżycy kurczy się, a lewa jego strona poczyna niknąć niby twarz, ku której starość się zbliża, która marszczy się i chudnie, wówczas, w takie godziny nocy, opanowują mnie dziwne trwogi i niepokoje.

Nie śpię i nie czuвам, ale w półśnie, w duszy to, co przeżyłem z tym, com czytał i słyszał, miesza się jak strumienie o różnych barwach i przejrzystości.

Zanim udałem się na spoczynek, czytałem żywot Buddy Gotamy³ i teraz jedna przypowieść na tysiąc sposobów z oddali powraca mi uporczywie w myśli.

„Wrona poleciała do kamienia, który wyglądał jak kawał słoniny i myśli: może znajdzie się tu coś smacznego? Nie znalazłszy tam jednak nic smacznego, odleciała dalej. Jak ta wrona, która zbliżyła się do kamienia, tak my opuszczamy ascetę Gotamę, utraciwszy doń upodobanie.”

I obraz kamienia, który wygląda jak kawał słoniny, urasta

¹ *Sen* – w oryginalnej, niemieckiej wersji językowej wszystkie tytuły rozdziałów są jednosylabowe. [przypis edytorski]

² *miesiąc* (daw.) – księżyc. [przypis edytorski]

³ *Budda Gotama* – właśc. Siddhartha Gautama, zwany „Buddą”, co oznacza „oświecony”, założyciel buddyzmu. Dаты narodzin i śmierci nie są znane, najczęściej jego życie datuje się na V-VI w. p.n.e. W szerszym sensie słowo „Budda” oznacza każdego „oświeconego”. [przypis edytorski]

w mej wyobraźni do potwornych rozmiarów; stąпам przez wyschnięte łożysko rzeki i dźwigam, usuwam gładkie krzemienie szarobłękitne, nakrapiane świecącym pyłem, po którym drepcę i drepcę, a jednak nie mogę sobie z nimi dać rady; potem napotykam czarne o siarczano-żółtych plamach, jak skamieniałe próby rzeźbiarskie jakiegoś dziecka, które chce naśladować niezgrabne, cętkowane skrzeki; chcę precz od siebie daleko odtrącić te kamienie, ale wciąż wypadają mi z ręki i nie mogę ich usunąć z zakresu⁴ swego wzroku. Wszystkie kamienie, które w moim życiu niegdyś jakakolwiek rolę grały, zapadają się dokoła mnie.

Niektóre męczą się ciężko, wysuwając się z piasku na światło – jak wielkie, łupkobarwne⁵ pająki morskie w chwili, gdy przyptyw morza powraca – jak gdyby wszystko chciały w tym pomieścić, oczy moje przykuć do siebie i powiedzieć mi rzeczy niesłychanej wagi.

Inne, wyczerpane, padają bezsilnie z powrotem w swe jamy i znikają, zanim doszły do słowa⁶. Czasem unoszę się do góry z tego zmierzchu półśnienia i widzę znowu na jedno mgnienie oka światło księżycy na bufiastym⁷ końcu mojej kołdry:

⁴ zakres – tu: zasięg. [przypis edytorski]

⁵ łupkobarwny (neol.) – w kolorze łupku, to jest odmiany łupliwego kamienia. [przypis edytorski]

⁶ zanim doszły do słowa – aluzja mitologiczna bądź religijna. W mitologii gr. ludzie zostali stworzeni z kamieni, a w *Ewangelii* Łk 19,40 padają słowa: „Powiadam wam: Jeśli ci umilkną, kamienie wołać będą”. [przypis edytorski]

⁷ bufiasty – przymiotnik od rzeczownika „bufa” oznaczającego kuliste, dekoracyjne

światło leżące jak wielki, jasny, płaski kamień, i znowu na ślepo macam swą zapadającą świadomość, szukając niespokojnie tego kamienia, który mnie dręczy, a który w rumowiskach wspomnienia leżeć musi i wygląda jak kawał słońiny.

Niegdyś musiała być nad tym kamieniem zawieszona rynna, tak sobie wyobrażam, zgięta pod kątem rozwartym; brzegi jej rdzą były strawione, i uparcie chcę w swym duchu taki obraz wymusić, aby spłoszone myśli okłamać i do snu się ukołysać. Nie udaje mi się. Nieustannie – nieustannie przemawia we mnie głos uparty i nieumęczony, jak okiennica, którą wiatr w prawidłowych⁸ odstępach czasu uderza o ścianę; to jest zupełnie coś innego, to wcale nie kamień, to, co wygląda jak słońina.

I nie mogę się pozbyć tego głosu, chociaż sto razy sobie wykładam⁹, że to jest wszystko drobiazg; głos milczy chwilę, ale niepostrzeżenie znów się odzywa i urągająco¹⁰ zaczyna na nowo: dobrze, dobrze, to prawda, ale to nie jest jednak kamień – to, co wygląda jak kawał słońiny. Z wolna zaczyna mnie opanowywać uczucie całkowitej niemocy. Co się stało dalej – nie wiem. Czy dobrowolnie przestałem jakkolwiek się opierać, czy też moje myśli przemogły¹¹ mnie i spętały? Wiem tylko, że moje ciało leży uśpione w łóżku, a moje zmysły oderwały się

zgrubienie na rękawie. [przypis edytorski]

⁸ *prawidłowy* – tu: regularny. [przypis edytorski]

⁹ *wykładać* – tu: wyjaśniać. [przypis edytorski]

¹⁰ *urągająco* – w sposób wyrażający niezadowolenie lub lekceważenie. [przypis edytorski]

¹¹ *przemóc* (daw.) – pokonać. [przypis edytorski]

od ciała i nie są już z nim związane. Kim jest teraz „ja”, chcę się gwałtem dowiedzieć, ale dorozumiewam się, że już nie mam żadnego organu, którym mogę stawić pytania. Wtedy lękam się, że głupi głos znowu się przebudzi i znowu zacznie nieskończoną gadaninę o kamieniu i słońcu. I tak kręcę się w kółko.

Dzień

Wówczas znalazłem się nagle w ponurym podwórzu i naprzeciwko, poprzez czerwony łuk bramy, ujrzałem po tej stronie ciasnej, brudnej ulicy żydowskiego tandeciarza¹², opartego o sklep, którego ściany były poobwieszane szeregiem starych żelaznych rupieci, połamanych narzędzi, zardzewiałych strzemion i łyżew, i wielu innych zamartwych rzeczy. —

Ten obraz miał w sobie nużącą jednostajność, cechującą wszystkie takie wrażenia, które codziennie tak często, jak kramarz¹³ domokrażny¹⁴, przestępują próg naszych spostrzeżeń i nie budzą we mnie ani ciekawości ani zadziwienia. Miałem poczucie, że od dłuższego już czasu byłem w tej okolicy jak u siebie. I to poczucie, mimo sprzeczności z tym, co spostrzegłem jeszcze przed chwilą i jak się tu dostałem, nie pozostawia we mnie żadnego głębszego wrażenia. Musiałem już kiedyś słyszeć albo czytać o dziwnym porównaniu kamienia z kawałem słońiny; wpadło mi to nagle do głowy, gdy po wydeptanych stopniach dotarłem do swego pokoju i dzięki ich zatłuszczonemu wyglądowi w nieokreślony sposób zacząłem myśleć nad słońinowym wyglądem kamiennych stopni.

¹² *tandeciarz* – handlarz tandetą, tj. tanimi, byle jakimi towarami z drugiej ręki. [przypis edytorski]

¹³ *kramarz* (daw.) – handlarz. [przypis edytorski]

¹⁴ *domokrażny* – chodzący po domach; zajmujący się akwizycją. [przypis edytorski]

Wtem usłyszałem odgłos kroków przebiegających nade mną po górnych schodach; doszedłszy zaś do drzwi swego pokoju, spostrzegłem, że była to czternastoletnia rudowłosa Rozyna, córka tandeciarza Arona Wassertruma.

Musiałem przejść koło niej, ona zaś stała plecami oparta o poręcz schodów i pożądliwie pochylała się w tył. Dla podtrzymania się oparła brudne ręce o żelazny drążek, obnażone jej ramiona blado przeświecały w mroku.

Starałem się uniknąć jej wzroku. Brzydziłem się jej natrętnego śmiechu i tej woskowej twarzy jakby drewnianego konia. Czułem, że dziewczyna ta musi mieć gąbczaste białe ciało, jak aksolotl¹⁵, którego kiedyś widziałem u ptasznika¹⁶ w klatce z salamandrą.

Rzęsy rudowłosych są dla mnie tak wstrętne jak królicze. Otworzyłem prędko i zamknąłem drzwi za sobą. – Ze swego okna mogłem obserwować tandeciarza Arona Wassertruma: stał przed sklepem. Podpierał się o wejście ciemnego sklepienia i kleszczami obcinał paznokcie u rąk. Czy rudowłosa Rozyna była jego córką, czy siostrzenicą? Nie było między nimi najmniejszego podobieństwa.

Pośród żydowskich twarzy, które widuję codziennie, wynurzające się w Kogucim Zaułku, ściśle mogę rozróżnić

¹⁵ *aksolotl* – meksykański płaz ogoniasty, charakteryzujący się bladą skórą. [przypis edytorski]

¹⁶ *ptasznik* – hodowca i/lub sprzedawca ptaków bądź drobnych zwierząt. [przypis edytorski]

rozmaite plemiona, które, mimo bliskiego pokrewieństwa poszczególnych jednostek, nie tak łatwo się zacierają, podobnie jak oliwa z wodą się nie miesza. Nie można tu powiedzieć: to są bracia, albo ojciec i syn. Ten jest tego plemienia, ów innego: to jest wszystko, co się da wyczytać z rysów twarzy. Udowodniłbym to nawet, gdyby Rozyna była podobną do tandeciarza. Te plemiona żywiły względem siebie wzajemny utajony wstręt i obrzydzenie, które również łamały łączność ciasnych związków krwi, lecz nakazywały trzymać je w ukryciu przed światem zewnętrznym, tak jak strzeże się niebezpiecznej tajemnicy. Nikt nie mógł ich przejrzeć, i w tej solidarności równali się oni ślepcom, pełnym nienawiści, którzy się przywiązali do brudem przesiąkniętego sznura. Jeden obojgiem pięści, inny pomimo woli, tylko jednym palcem, lecz wszyscy ogarnięci zabobonną trwogą, że musieliby zginąć, gdyby opuścili wspólną podporę i odłączyli się od pozostałych.

Rozyna jest z tego plemienia, w którym rudowłosy typ jest bardziej jeszcze odrażający, niż u innych.

Mężczyźni tego plemienia są szczupli w piersiach i mają długie, kogucie szyje z wystającym jabłkiem Adamowym¹⁷. Wszystko wydaje się u nich piegowate. I przez całe życie cierpią brutalne udręczenia. Walczą skrycie przeciwko swoim chuciom¹⁸ bez końca i bez skutku, pełni trwogi nieprzerwanej. Nie

¹⁷ *jabłko Adama* – u mężczyzn: wypukłość na szyi, jaką po mutacji tworzy chrząstka grdyki. [przypis edytorski]

¹⁸ *chuć* – pożądanie. [przypis edytorski]

mogę sobie jasno wyobrazić, na jakiej zasadzie przypisywałem Rozynie związek pokrewieństwa z tandeciarzem Wassertrumem. Nigdy jej nie widziałem w pobliżu starca i nie zauważyłem, aby kiedykolwiek ze sobą rozmawiali. Rozyna była prawie zawsze na naszym podwórzu, albo przeciskała się przez ciemne przejścia i zakamarki naszego domu. Zapewne wszyscy moi współlokatorzy uważali ją za bliską krewną, a przynajmniej za wychowankę Arona, ja zaś byłem przekonany, że nikt nie mógłby tego przypuszczenia wytłumaczyć. Chciałem myśli oderwać od Rozyny i spojrzałem w otwarte okno swego pokoju w dół, na zaułek. Gdy Aron Wassertrum poczuł mój wzrok, podniósł nagle ku górze swoją nieruchomą, szkaradną twarz z okrągłymi rybimi oczyma i odstającą górną wargą. Wydał mi się jak człowiek-pająk, który wyczuwa najdelikatniejsze dotknięcie swojej sieci, jakkolwiek zdaje się niewzruszony i obojętny. I z czego on mógł żyć? Co myśli i co zamierza? Nie wiedziałem tego. Na ścianach jego sklepu wiszą bez zmiany z dnia na dzień, z roku na rok, te same martwe, bezwartościowe rzeczy. Mógłbym je narysować z zamkniętymi oczyma. Tutaj zgięta, blaszana trąba bez klap, pożółkły obraz malowany na papierze, wyobrażający dziwacznie poustawianych żołnierzy. Potem wiązka zardzewiałych ostróg na spleśniałym rzemieniu i inne na wpół zbutwiałe¹⁹ rupiecie. A na przedzie na podłodze szereg okrągłych, tak gęsto koło siebie

¹⁹ *zbutwiały* – uległy rozpadowi pod wpływem grzybów i bakterii. [przypis edytorski]

ułożonych żelaznych fajerek²⁰, że nikt nie mógł przekroczyć progu sklepu. Ilość tych wszystkich rzeczy nie zmniejszała się nigdy ani nie powiększała i trwała w niezmienności. A gdy pewnego razu jaki przechodzień zatrzymał się i zapytał o cenę tego albo owego przedmiotu, tandeciarz wpadał w gwałtowne rozdrażnienie. W sposób dreszczem przejmujący wyciągał swoją zajęczą wargę ku górze i podniecony wymrukiwał coś niezrozumiałego gardłowym, jękającym się basem, tak że klient tracił ochotę pytać jeszcze i wystraszony udawał się w dalszą drogę.

Wzrok Arona Wassertruma błyskawicznie prześlizgnął się przed moich oczu i spoczął z natężoną uwagą na gołych murach przybudówki, która sięgała mego okna. Co on mógł tam zobaczyć? Przecież tylna ściana domu jest zwrócona na ulicę, a okna wychodzą na podwórze! Tylko jedno skierowane jest na ulicę.

Pokoje przylegające do moich na tym samym piętrze – zdaje mi się, że jest to jakaś pokątna²¹ pracownia – przypadkowo zdawały się być w tej chwili zajęte, gdyż nagle za ścianą usłyszałem rozmawiające ze sobą głosy, męski i kobiecy.

Niepodobna²², aby tandeciarz na dole głosy te mógł słyszeć. Przed moimi drzwiami ktoś się poruszał; domyśliłem się, że

²⁰ *fajerka* – żeliwna obręcz, służąca do regulacji wielkości otworu w płycie kuchennej. [przypis edytorski]

²¹ *pokątny* – niezgodny z prawem a. z innymi przepisami. [przypis edytorski]

²² *niepodobna* (daw.) – nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

to ciągle jeszcze Rozyna w ciemnościach czeka pożądliwie, aż może ją do siebie zechcą zaprosić.

Na dole zaś o pół piętra niżej z zatrzymanym oddechem czatował na schodach dziobaty, na pół dorosły Loiz, czy ja drzwi otworzę i czuję formalnie tchnienie nienawiści i spienioną zazdrość sięgającą aż tu, poza moje progi.

Chłopiec bał się zbliżyć, aby go Rozyna nie spostrzegła. Czuje się on od niej zależny, jak głodny wilk od swego dozorczy, a chciałby z przyjemnością zerwać się i nieprzytomnie dać upust swojej wściekłości. Usiadłem przy warsztacie i wyjąłem obciążki i rylce. Lecz nic nie mogłem wykonać, a ręka moja była za mało spokojna, aby poprawiać subtelne ryciny japońskie. Smętne, ponure życie, związane z tym domem, stało na przeszkodzie uspokojeniu mego umysłu i ciągle we mnie nurtowały stare obrazy.

Loiz i jego bliźniak Jaromir byli zaledwie o rok starsi od Rozyny. O ojcu ich, który wyrabiał hostie, nie mogę sobie nic przypomnieć, a teraz, zdaje mi się, opiekę ma nad nimi pewna stara kobieta. Tylko nie wiem, która to była spośród wielu, co w tym domu mieszkają ukryte jak krety w swych podziemiach.

Opiekowała się obu chłopcami, to znaczy udzielała im schronienia, oni zaś za to musieli jej dostarczać tego, co przy sposobności ukradli lub wyżebrali. Czy dawała im również co jeść? Nie przypuszczam, gdyż stara wraca zwykle do domu późnym wieczorem.

Jest podobno obmywaczką umarłych.

Gdy Loiz, Jaromir i Rozyna byli jeszcze dziećmi, widywałem ich często, jak się we troje niewinnie bawili. Lecz dużo czasu już minęło.

Teraz Loiz cały dzień biega za rudowłosą Żydówką. Czasami szuka jej nadaremnie, a gdy nie może nigdzie jej znaleźć, wtedy prześlizguje się przed moimi drzwiami i z wykrzywioną twarzą oczekuje, aż ta po kryjomu tutaj przyjdzie. Potem, siedząc przy pracy, widzę go, jak biegnie przez ulicę z głową po szpiegowsku przechyloną na wychudłym karku. Czasem nagle przerywa ciszę dziki wrzask. Jaromir, będąc głuchoniemym i mając wszystką myśl przepełnioną jedynie szalonym pożądaniem Rozyny, błądzi jak dzikie zwierzę po domu, a jego nieokreślone wyjące szczekanie, które wydaje na wpuł przytomnie z zazdrości i podejrzliwości, brzmi tak strasznie, że niejednemu krew by w żyłach skrzepła. Jaromir szuka obojga, gdziekolwiek ich obecność podejrzewa, w jednym z tysiąca brudnych zakątków, ukryty w ślepej wściekłości, ciągle biczowany tą myślą, że jego brat za nim śledzi, aby z Rozyną nic się nie stało, czego by on nie wiedział. I właśnie to ciągłe dręczenie kaleki – jak sądzę – jest środkiem podniecającym Rozynę, że wciąż z nim się spotyka. Gdy jej skłonności i chęci słabną, Loiz wymyśla nowe rozmaite szkaradzieństwa, aby żądze Rozyny na nowo rozbudzić. Wtedy pozwalają umyślnie przyłapać się głuchoniememu, wabiąc chytrze szalejącego z wściekłości w ciemne przejścia; tu Jaromir, włączając na zardzewiałe obręcze, które przy stąpieniu podnosiły się w górę i żelazne grabie ostrzami zwrócone do góry, podlegał

przykrym wypadkom i bywał nieraz pokrwawiony i poraniony. Od czasu do czasu Rozyna obmyślała, aby go męczyć na swoją rękę w sposób jeszcze piekielniejszy. Potem naraz²³ zmieniała postępowanie względem Jaromira, udając, że nagle znajduje w nim upodobanie. Z wiecznie uśmiechniętą miną, popełnia ona względem kaleki rzeczy straszliwe, które ją podniecają niemal do obłędu; i w tym celu urobiła sobie pozornie tajemniczy, na pół zrozumiały język znaków, które wciągały głuchoniemego bez ratunku w sieć bezwiedzy i pożerającej nadziei. Pewnego razu widziałem go stojącego przed nią, a ona mówiła do niego tak groźnie poruszając wargami i gestykulując, iż byłem pewien, że lada chwila wybuchnie on dzikim wzburzeniem. Pot spływał mu z czoła od nadludzkiego wytężenia myśli, aby uchwycić tak niejasne i prędkie zwroty. A w ciągu następnego dnia czatował, trzęsąc się na ciemnych schodach innego, na wpół rozwalonego domu, który stał na przedłużeniu ciasnego brudnego zaułka póty, póki mu się nie udało wyżebrać paru centów. A gdy późno w nocy, na wpół umarły z głodu i niepokoju, chciał wrócić do domu, jego opiekunka dawno już drzwi zamknęła.

—

—

Wesoły śmiech kobiecy przecisnął się do mnie przez ścianę, z sąsiedniej pracowni. Śmiech? W tym domu wesoły śmiech? W całym Getcie²⁴ nikt nie mieszka, co by mógł się śmiać

²³ *naraz* – nagle. [przypis edytorski]

²⁴ *getto* – dzielnica żydowska. [przypis edytorski]

wesoło. Wtem przypomniałem sobie, że przed paru dniami zwierzał mi się stary jasełkarz²⁵ Zwak, że pewien młody, bogaty pan wynajął od niego drogo pracownię widocznie dlatego, aby móc bez przeszkody spotykać się z wybraną swego serca. Aby w domu nikt tego nie spostrzegł, drogie meble nowego lokatora musiano wstawiać nocami w tajemnicy, po sztuce. Dobroduszny starzec, gdy mi to opowiadał, zacierał aż ręce z zadowolenia i cieszył się jak dziecko ze swojej zręczności, że nikt ze współlokatorów nie przypuszcza nawet istnienia jakiejś romantycznej pary zakochanych.

Z trzech domów można się dostać niepostrzeżenie do pracowni. Nawet można wejść przez drzwi tajemne. Tak, gdy się otworzy żelazne drzwi w podłodze – co z tamtej strony jest łatwe do wykonania – można by, przeszedłszy przez mój pokój, dojść do schodów naszego domu i użyć ich za wyjście... Znowu z pracowni zadźwięczał wesoły śmiech i obudził we mnie niewyraźne wspomnienie zbytkownego²⁶ mieszkania pewnej szlacheckiej rodziny, do której byłem często wzywany do odnawiania drogocennych starożytności. Nagle usłyszałem tuż obok przeraźliwy krzyk. Słuchałem wystraszony. Żelazne drzwi w podłodze silnie zaskrzypiały i po chwili do mego pokoju wpadła kobieta. Z rozpuszczonymi włosami, blada jak ściana, z zarzuconym na nagie plecy złotogłowiem²⁷.

²⁵ *jasełkarz* – lalkarz. [przypis edytorski]

²⁶ *zbytkowny* – bogato wyposażony, luksusowy. [przypis edytorski]

²⁷ *złotogłów* – droga tkanina z jedwabiu i złotych nici. [przypis edytorski]

– Mistrzu Pernath, ukryj mnie pan, na miłość Boską. Nie pytaj się pan, ukryj mnie tutaj.

Zanim mogłem odpowiedzieć, drzwi zostały powtórnie szarpnięte i natychmiast zamknięte. W sekundę później ujrzałem podobną do wstrętnej maski, szyderczą twarz kramarza Arona Wassertruma.

—

—

Przedemną wynurzyła się okrągła świecąca plama i w świetle księżyca poznałem znowu nogi mego łóżka. Sen ogarniał mnie jeszcze jak ciężki, wełniany płaszcz, a imię²⁸ Pernath, jak gdyby wypisane złotymi literami, pozostawało w mojej pamięci. Gdzie ja to imię czytałem? Atanazy Pernath?

Przypominam sobie, dawnymi czasy zamieniłem gdzieś swój kapelusz i dziwiłem się wtedy, że tak jest dopasowany, chociaż głowę mam o bardzo niezwykłym kształcie. Zajrzałem wtedy do cudzego kapelusza i – tak, tak, było w nim złotymi, papierowymi literami na białej podszewce napisane:

Atanazy Pernath

Nie wiem, dlaczego poczułem do tego kapelusza wstręt i nawet się go lękałem. Wtem uderzył mnie jak strzała zapomniany głos, który chciał się ode mnie dowiedzieć, gdzie się podział kamień, wyglądający jak słonina. Szybko wyobraziłem sobie ostry, słodko szydzący profil rudej Rozyny i w ten sposób udało mi się uchylić od pocisku, który natychmiast zginął w

²⁸ *imię* – tu: nazwisko. [przypis edytorski]

mroku.

Tak, twarz Rozyny! To jest jednak silniejsze niż bezmyślnie paplający głos i rzeczywiście, gdy się znowu ukryję w swoim pokoiku na Kogucim Zaułku, mogę być zupełnie spokojny.

Jeżeli się nie łudzę w domyśle, że na zewnątrz ktoś stąpa po schodach, w niezmiennie ciągle odległości ode mnie, z tym zamiarem, aby mnie odwiedzić, to na pewno znajdować się on teraz musi na ostatnim zakręcie schodów. Teraz poszedł w bok, w stronę mieszkania archiwisty Szemajaha Hillela i dostał się z wydeptanych schodów do sieni wyższego piętra, wyłożonej czerwonymi cegłami. Przeszedł po omacku wzdłuż ściany i musiał teraz, właśnie teraz, sylabizując z trudem w ciemnościach, odczytywać z tabliczki na drzwiach moje nazwisko.

Staiałem wyprostowany w środku pokoju i spoglądałem na wejście. Wtem otworzyły się drzwi i on wszedł.

Zbliżył się parę kroków ku mnie i nie zdejmując kapelusza, nie rzekł nawet ani słówka na powitanie. Odniosłem wrażenie, że zachowuje się, jak u siebie w domu i uważałem za zupełnie zrozumiałe, iż on tak, a nie inaczej postępuje. Sięgnął do kieszeni, wyjął jakąś książkę i długo przewracał w niej kartki.

Okładka książki była metalowa, wyciski na niej w kształcie rozetek i pieczęci były nakładane farbą i wyłożone małymi kamyczkami. W końcu znalazł szukane miejsce i wskazał mi je. Tytuł brzmiał: *Ibbur*³⁰, *Brzemie duszy*. Olbrzymi, złotoczerwony

²⁹ J – po hebrajsku jest to pierwsza litera imienia Boga. [przypis edytorski]

³⁰ *ibbur* – w pewnych odłamach mistyki żydowskiej słowo to oznacza w uproszczeniu wzmocnienie duszy żyjącego człowieka przez tymczasowo łączącą się z nią inną

inicjał „J” zajmował prawie połowę stronicy, którą pomimo woli przejrzałem; był na brzegu uszkodzony. Starłem się go naprawić. Inicjał ten nie był przylepiony do pergaminu, jak to dotychczas widywałem w starych książkach, składał się on raczej z dwóch cienkich złotych płytek, zlutowanych ze sobą w samym środku, a końcami zaczepionych o brzegi pergaminu. Czyżby to miejsce stronicy, na którym się znajdowała litera, było przedziurawione? Gdyby tak było w rzeczywistości, to na drugiej stronie „J” musiałyby być odwrócone. Przerzuciłem kartkę i moje przypuszczenie się nie sprawdziło. Pomimo woli przeczytałem tę i następną stronicę. Iczytałem ciągle dalej a dalej. Książka mówiła do mnie, jak mówi sen, jaśniej tylko i wyraźniej. Poruszyła ona moje serce jakimś zagadnieniem.

Słowa płynęły z niewidzialnych ust, stawały się żywe i zbliżały się do mnie. Tańczyły i drgały przede mną, jak pstro ubrane niewolnice, pogrążały się potem w podłódze lub znikwały jak lśniące tchnienia w powietrzu i ustępowały miejsca innym. Każda miała chwilkę nadziei, że zechcę ją wybrać, lecz na widok nowo przybyłej wyrzekła się swych nadziei. Niektóre, znajdujące się pod nimi, przychodziły świetne, jak pawie w mieniących się barw szatach, a kroki ich były powolne i odmierzane. Inne – jak przestarzałe i przeżyte królowe o farbowanych powiekach, o rysach twarzy prostytutki i zmarszczkach pokrytych wstrętną szminką. Patrzyłem na

sprawiedliwą duszę przebywającą poza ciałem. Zwykle wynika to z potrzeby spełnienia przez duszę bezcielesną jakiejś misji. [przypis edytorski]

nie, jak się zjawiały i odchodziły, a wzrok mój ślizgał się po wydłużonych konturach szarych postaci o twarzach tak pospolitych i bez wyrazu, że wyrycie się ich w pamięci było wykluczone.

Potem przywlokły naga kobietę, olbrzymią jak spiżowy³¹ kolos. Jej rzęsy były tak długie, jak moje całe ciało; niemo wskazała na puls swej lewej ręki. Uderzał on jak trzęsienie ziemi i miałem wrażenie, że w nim ześrodkowało się życie całego świata. Z oddali zbliżał się orszak korybantów³². Mężczyzna i kobieta trzymali się w objęciach, widziałem ich zbliżających się z oddalenia, orszak zaś czynił wrzawę coraz bliżej. Teraz słuchałem rozlegającego się śpiewu beładnie płaszącej przede mną gromady, a wzrok mój szukał zagubionej pary. Lecz ta przemieniła się w jedną jedyną postać, na wpół męską, na wpół kobiecą – w Hermafrodytę³³, siedzącego na tronie z masy perłowej. Korona Hermafrodyty kończyła się deską z czerwonego drzewa; wewnątrz robak zniszczenia wygryzał tajemniczą cyfrę. W obłokach pyłu szybko się zbliżała, popędzana biczem, trzoda małych, ślepych owiec: karmne³⁴ zwierzęta, które prowadził w orszaku gigantyczny mieszaniec, miały przeznaczenie utrzymywać życie korybantów.

³¹ *spiżowy* – wykonany ze spiżu, tj. ze stopu miedzi, cynku i cyny. [przypis edytorski]

³² *korybant* – w starożytności kapłan Kybele, frygijskiej bogini płodności. [przypis edytorski]

³³ *hermafrodyta* – (od imion bogów gr. Hermesa i Afrodyty) istota dwupłciowa. [przypis edytorski]

³⁴ *karmny* – tuczny, przeznaczony do uboju. [przypis edytorski]

Czasami niektóre postacie, wypływające z niewidzialnych ust, przybywały z grobów, z chustami przed obliczem. I stanąwszy przede mną, nagle zrzuciły okrycia i stężałe, głodne, spoglądały krwiożerczym wzrokiem, skierowanym w me serce, aż lodowaty strach wciskał mi się w sam mózg, a krew moja kipiała jak potok, w który spadają z nieba odłamy skalne – nagle i w sam środek łożyska.

Jakaś kobieta unosiła się nade mną w powietrzu. Nie widziałem jej twarzy, gdyż odwróciła się ode mnie, a miała na sobie płaszcz z płynących łez. Maski tańczyły, śmiały się, nie dbając o mnie zupełnie. Tylko jakiś Pierrot³⁵ obejrzał się uważnie – oczy utkwiał we mnie i odskoczył. Wrósł w ziemię przede mną i spojrzał mi w twarz jak gdyby w zwierciadło. Robił tak dziwne miny, podnosił i machał rękami, już to ociężałe, już to z błyskawiczną szybkością, że moim jedynym nieprzepartym pragnieniem stało się nagle naśladować Pierrota, mrugać oczami jak on, poruszać łopatkami i wykrzywiać kątami ust jak on.

Wtedy odepchnęły go na bok niecierpliwie cisnące się postacie, które wszystkie chciały być przed moim wzrokiem. Lecz żadna z tych istot nie mogła się utrwalić. Są to oślizgłe perły nawleczone na jedwabny sznur, są to poszczególne tony jednej tylko melodii, które z niewidzialnych ust wypływają. Już nie była to książka, co przemawiała do mnie. Był to głos. Głos, który czegoś chciał ode mnie, czegoś, czego nie mogłem

³⁵ *Pierrot* – postać z komedii *dell'arte*: smutny kochanek ze łzami wymalowanymi na pobielonej twarzy. [przypis edytorski]

uchwycić, choć nie wiem jak usiłowałem to zrobić. Głos dręczył mnie palącymi, niezrozumiałymi pytaniami. Lecz głos, który te widzialne wypowiadał słowa, umarły był i bez echa. Każdy głos, rozbrzmiewający w świecie rzeczywistości, odpowiada wielokrotnym echem, tak jak każdy przedmiot ma jeden duży cień i wiele cieni małych, ten jednakże głos nie odpowiadał już żadnym echem – dawno, dawno już się te echa rozwiały i przebrzmiały.

Przeczytałem książkę do końca i trzymałem ją jeszcze w rękach, a wówczas było mi tak, jak gdybym badawczo w mózgu własnym kartki przerzucał – i to nie w jednej książce! – Wszystko, co mi ten głos powiedział, nosiłem w sobie, odkąd żyję, lecz było to zapomniane i ukryte przed mą świadomością aż do dnia dzisiejszego.

—

Spojrzałem przed siebie. Gdzie się podział człowiek, który mi przyniósł książkę? Czyżby wyszedł? Czy przyjdzie po nią, gdy będzie skończona? Może mam mu ją odnieść? Lecz nie mogę sobie przypomnieć, czyli³⁶ mówił, gdzie mieszka. Staralem się wywołać w pamięci jego zjawę, lecz mi się nie udało. Chociażby wiedzieć, jak był ubrany. Czy był stary, czy młody? Jakiego koloru były jego włosy, broda? Nie, nic zupełnie nie mogłem sobie wyobrazić. Wszystkie przedstawiające go obrazy, które sobie stworzyłem, rozplywały się bez zatrzymania, zanim byłem w stanie połączyć je w duchu. Zamknąłem oczy i opuściłem

³⁶ czyli – czy z partykułą pytajną -li. [przypis edytorski]

rękę na powieki, aby ułoić najdrobniejszą choćby cząstkę jego portretu. Nic, nic. Stałem pośrodku pokoju i spoglądałem na drzwi, tak, jak to zrobiłem przedtem, gdy człowiek ten wchodził i malowałem sobie całą rzecz: teraz skręca koło rogu, teraz stąpa po wyłożonej ceglami posadzce, teraz czyta na drzwiach moją tabliczkę: „Atanazy Pernath”, a teraz wchodzi. Daremnie. Nie mogłem wzbudzić najmniejszego śladu wspomnienia co do jego postaci. Zobaczyłem książkę leżącą na stole i chciałem sobie wyobrazić w duchu rękę, która ją z kieszeni wyjmuje, by mi ją podać. Nie mogłem sobie uzmysłoić, czy na rękę była rękawiczka, czy też dłoń była obnażona, czy była młoda, czy pomarszczona, przystrojona pierścieniami, czy też nie.

Wtem wpadł mi szczególny pomysł. Był on jak natchnienie, któremu nie można było się oprzeć. Włożyłem kapelusz i przeszedłszy korytarz, zszedłem po schodach na dół. Potem powoli wróciłem znów do swego pokoju.

Powoli, zupełnie powoli, tak jak on, gdy wchodził do mnie. Otworzywszy drzwi spostrzegłem, że w pokoju był zmrok. Czyż nie promieniał jasny dzień, gdy przed chwilą wychodziłem? Jak długo musiałem marudzić, jeżeli nie zauważyłem, że teraz jest już tak późno?

Próbowałem naśladować nieznanomego w ruchach i minach, lecz nie mogłem go sobie zupełnie przypomnieć. Jak jednakże miało mi się udać naśladowanie jego postaci, skoro nie miałem żadnego punktu oparcia do jego wyglądu?

Lecz rezultat był inny, zupełnie inny, niż przypuszczałem.

Moja skóra, muskuły³⁷, całe ciało przypomniały sobie nagle wszystko, nie zdradzając się przed mózgiem. One to wykonywały ruchy, których nie chciałem i nie zamierzałem wykonywać. Jak gdyby moje członki³⁸ nie należały więcej do mnie. W jednej chwili, gdy robiłem parę kroków po pokoju, chód mój stał się drepcący i cudzy. Określiłem, że to chód człowieka, który jest w ciągłej obawie, że upadnie. Tak, tak, tak, to był jego chód. Najdokładniej wiedziałem – to on. Miałem twarz obcą, bez zarostu, o wystających kościach policzkowych i spoglądałem ukośnymi oczami. Czułem to, lecz nie mogłem się zobaczyć. Przerażony, że moja twarz nie jest moją, chciałem krzyczeć; następnie chciałem się dotknąć, lecz ręka nie poszła za rozkazem woli, jeno³⁹ zanurzyła się w kieszeni i wyjęła książkę. Zupełnie tak, jak on to robił. Magle siedzę, znowu bez kapelusza i paltła przy stole i to jestem ja. To ja, to ja! Atanazy Pernath. Trzęsły mną dreszcze i zgroza, serce szalało, jakby chciało wyskoczyć i czułem, że widmowe palce, ściskające dotychczas mój mózg, usunęły się ode mnie. Tylko z tyłu głowy wyczuwałem jeszcze zimne ślady ich dotyku.

Teraz wiedziałem, jakim był nieznajomy, mógłbym go znowu w sobie wyczuć – w każdej chwili, gdybym zapragnął – lecz wywołać jego obraz tak, abym go widział przed sobą oko w oko, tego jeszcze nie potrafię i nigdy nie będę mógł zrobić. Poznałem,

³⁷ *muskuty* – mięśnie. [przypis edytorski]

³⁸ *członki* (daw.) – kończyny. [przypis edytorski]

³⁹ *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

że on jest jak negatyw, niewidoczna próżnia, o nieuchwytnych liniach, w którą muszę się sam wcisnąć, jeżeli chcę poznać jej kształt i istotę we własnym „ja”.

W szufladzie mego stolika stała żelazna kasetka – chciałem w niej zamknąć książkę i dopiero gdy stan choroby ducha ustąpi, chciałem ją wyjąć i podjąć poprawę złamanego inicjału „J”. Wziąłem książkę ze stołu. Czułem, jak gdybym nic nie trzymał; chwytam kasetkę – to samo – wrażenie, jak gdyby zmysł dotyku musiał odbywać długą, długą drogę pełną ciemności, zanim by co wpadło do mojej świadomości; jak gdyby to były rzeczy warstwami czasu mnogich lat oddalone ode mnie i należące do przeszłości, co już dawno przeminęła.

Głos, który poszukiwał mnie, krążąc w mroku, aby mnie trafić kamieniem podobnym do słońiny, przeszedł koło mnie, ale mnie nie zauważył. Wiedziałem, że pochodzi on z krainy snów. Lecz to, co przeżyłem, było rzeczywistością i czułem, że dlatego właśnie nie mógł mnie nie widzieć i szukał mnie na próżno.

Praga

Koło mnie stał student Charousek, owijając kołnierz swego bardzo cienutkiego surduta⁴⁰ i słyszałem, jak mu z zimna zęby szczękały. Chłopiec ten może umrzeć – mówiłem sobie – w tym pełnym przeciągów, lodowatym łuku bramy – i prosiłem go, aby wraz ze mną zaszedł do mego mieszkania. Lecz on mi odmówił.

– Dziękuję wam, mistrzu Pernath – mruknął chłodno – nie mam tyle wolnego czasu – muszę spieszyć do miasta.

Gdybyśmy wyszli na ulicę, to po kilku krokach zmoklibyśmy do suchej nitki. Deszcz nie ustaje. Strumienie wody spływały z dachów po fasadach domów, jak potoki łez. Podniósłszy nieco głowę, mogłem tam na górze na czwartym piętrze widzieć swoje okno, deszczem schlapane, a wyglądające, jak gdyby jego szyby rozmiękły i stały się nieprzezroczyste i pogarbione niby żelatyna. Żółtawy, brudny strumień spływał ulicą i brama zapełniła się przechodniami, którzy chcieli przeczekać, póki niepogoda nie minie.

– Tam płynie bukiet ślubny – powiedział nagle Charousek i wskazał na bukiet zwiędłych kwiatów, który się przybliżał, pędzony brudną falą. Na to ktoś roześmiał się głośno. – Odwróciwszy się, zobaczyłem, że był to stary, wytwornie ubrany pan o siwych włosach i nabrzmiałej, rozpuchłej twarzy.

⁴⁰ *surdut* – długa, obcisła dwurzędowa marynarka bądź krótki płaszcz. [przypis edytorski]

Charousek także spojrzął w tył i mruknął coś do siebie.

Starzec miał w sobie coś nieprzyjemnego; odwróciłem uwagę od niego i przyglądałem się obdrapanym domom, które w moich oczach przykucnęły na deszczu, jak stare leniwe zwierzęta. Jak one wyglądały przykro i staro! Budowane bez zastanowienia, stały jak zielsko, co wydobywa się z ziemi. Dobudowano je, bez względu na otoczenie, do niskich żółtych murów kamiennych, jedynych resztek dawniejszego szeroko rozpostartego budynku z przed dwóch-trzech stuleci. Tam połowa pochylonego domu z zapadającym się frontem. Inny obok, wyższy ponad inne, jak ogromny kieł. Pod pochmurnym niebem wyglądały one jak pogrążone we śnie i nie odgadłbyś chytrego, pełnego nienawiści życia, które czasami z nich wytryskało, gdy mgła jesiennych wieczorów zalega ulice i pomaga im ukryć swą cichą, ledwo dostrzegalną grę twarzy. W czasie, gdy tu jeszcze mieszkam, utrwaliło się we mnie to wrażenie i nie mogłem się go pozbyć. Są pewne godziny w nocy i o rannym brzasku, gdy domy te w jakimś podnieceniu prowadzą milczące, tajemnicze narady. I niekiedy zrywa się słabe drżenie poprzez ich ścianę, którego niepodobna wytłumaczyć, szmery płyną poprzez dachy i spadają w rynny deszczowe – my zaś je przejmujemy niebaczenie⁴¹ tępych myślami, nie śledząc ich przyczyny. Często roilo mi się⁴², że podpatrzył upiorne zachowanie się kamienic i dowiedziałem się z pełnym zgrozy podziwem, że one właśnie są utajonymi i

⁴¹ *niebaczenie* – nieuważnie, nieostrożnie. [przypis edytorski]

⁴² *roilo mi się* – wydawało mi się. [przypis edytorski]

istotnymi panami ulicy, że już to tracą żywot i czucie, już to do życia powracają, a w ciągu dnia mieszkańcom, co się tu gnieźdzą, udzielają go w pożyczce, następnej zaś nocy z lichwiarskim procentem⁴³ domagają się go powrotnie⁴⁴.

Wyobrażam sobie dziwnych ludzi, którzy mieszkają w tych domach niby schematy, niby istoty nie z matki urodzone – ludzie, którzy w myśleniu i działaniu zdają się być spojeni bez doboru, przeciągają przede mną jak duchy, i jestem skłonniejszy wierzyć, że takie sny tają⁴⁵ w sobie ciemne prawdy, które na jawie tlą się we mnie, jako wrażenie z kolorowych baśni. Potem skrycie budzi się we mnie znów podanie o widmowym Golemie⁴⁶, owym sztucznym człowieku, którego niegdyś tutaj w mrokach Getta pewien rabin, znawca Kabały⁴⁷, utworzył z elementów⁴⁸ i przywoływał go do automatycznego, bezdusznego bytu, szepcząc przez zęby magiczne słowo liczebne⁴⁹. I jak ów Golem drętwiał

⁴³ *lichwiarski procent* – nazbyt wysokie oprocentowanie pożyczki. [przypis edytorski]

⁴⁴ *powrotnie* – dziś: z powrotem. [przypis edytorski]

⁴⁵ *taić* – ukrywać. [przypis edytorski]

⁴⁶ *golem* – w legendach żydowskich istota stworzona na podobieństwo człowieka, zazwyczaj z gliny, żywa lecz pozbawiona duszy i dlatego posłuszna poleceniom człowieka, który ją stworzył. Stworzenie golema wiązało się z powtórzeniem Boskiego procesu kreacji. [przypis edytorski]

⁴⁷ *Kabała* – mistyczna doktryna judaistyczna, na której oparty był m. in. ruch chasydzki. [przypis edytorski]

⁴⁸ *elementy* (daw.) – żywioły. [przypis edytorski]

⁴⁹ *szepcząc przez zęby magiczne słowo liczebne* – w innych wersjach legendy ożywienie golema następowało przez włożenie mu w usta karteczki z hebrajskim słowem *emet*

natychmiast w posąg gliniany w chwili, gdy tajemniczą sylabę jego życia cofał swymi ustami⁵⁰ zaklinacz, tak niewątpliwie, sędzę, tracą swój byt duchowy wszyscy ci ludzie, skoro tylko w mózgu u jednego zagasło jakiegokolwiek nikłe wyobrażenie, podrzędna⁵¹ dążność, może zbyteczne przyzwyczajenie, u innego zaś tylko głuche oczekiwanie jakiejś rzeczy całkowicie niezrozumiałej i całkowicie pozbawionej treści. – Przy tym co za nieustanne straszliwe zasadzki i podstępny w tych istotach! Nigdy nie widzi się tych ludzi przy pracy, jednak budzą się o pierwszym brzasku dnia i czekają z zapartym oddechem, jak na ofiarę – na coś, co nigdy nie nadchodzi. Jeżeli istotnie kiedyś powstaje pozór, jakby ktoś wchodził w ich obręb, ktoś bezsilny, co to mogliby go opanować: wówczas spada na nich nagle paraliżujący strach, odpędza ich z powrotem do nor, tak iż drząc, odstępują od zamiaru. Nikt nie wydaje się dość słaby, by im odwagi starczyło dla opanowania jego niemocy.

– Zwyródniałe, bezzębne, dzikie zwierzęta, którym odebrano siłę i oręż – powiedział Charousek powolnie⁵² i spojrział się na mnie.

Jakim sposobem mógł on wiedzieć, o czym myślałem? Czasami tak mocno urabiamy swoje myśli, że one mogą, jak

(prawda) a uśmiercenie przez wymazanie pierwszej litery, na skutek czego powstawało słowo *met* (śmierć). [przypis edytorski]

⁵⁰ *usty* – dziś popr. forma N. lm: ustami. [przypis edytorski]

⁵¹ *podrzędny* – podległy. [przypis edytorski]

⁵² *powolnie* – dziś popr.: powoli. [przypis edytorski]

latające iskry, przeskoczyć w mózg stojącego w pobliżu.

– – – Z czego oni mogą żyć? – spytałem po chwili.

– Żyć? Z czego? Niejeden z nich jest milionerem.

Spojrzałem na Charouska. Co on myślał, mówiąc te słowa?

Ale student umilkł i spojrzał na obłoki. Na chwilę ustał szmer głośów w bramie i słychać było tylko syczenie deszczu. Co on chciał przez to powiedzieć: „Niejeden z nich jest milionerem”? Znów wydało się, jak gdyby Charousek odgadł moje myśli. Wskazał na sklep tandeciarza obok nas, gdzie woda opłukiwała rdzę żelaznych rupieci, tworząc brązowo-czerwone kałuże.

– Aron Wassertrum! Ten na przykład to milioner. Prawie trzecia część żydowskiego miasta jest jego własnością. Czy pan o tym nie wie, panie Pernath?

Wprost zatamował mi się oddech w piersiach.

Aron Wassertrum tandeciarz⁵³, Aron Wassertrum milioner?

– O, znam go dobrze – mówił dalej Charousek, jak gdyby tylko czekał, że go zapytam – znam też jego syna, doktora Wassory. – Nigdy pan o nim nie słyszał? O doktorze Wassory – słynnym okuliście? – Przed rokiem jeszcze całe miasto mówiło o nim z zachwytem, jako o wielkim uczonym. – Nikt nie wiedział, że on zmienił nazwisko i przedtem nazywał się Wassertrum. Chętnie udawał on oderwanego od świata człowieka nauki i kiedy raz była rozmowa o pochodzeniu, skromnie, z głębokim wzruszeniem oświadczył półsłówkami, że ojciec jego pochodzi

⁵³ *tandeciarz* – handlarz tandetą, tj. tanimi, byle jakimi towarami z drugiej ręki.
[przypis edytorski]

jeszcze z Getta – a sam wybił się na światło trudem wszelkiego rodzaju i niewypowiedzianymi kłopotami. Czyim trudem i niewypowiedzianymi kłopotami, za pomocą jakich środków, tego jednak nie objaśnił. Ja przecież wiem, jaki to ma związek z gettem – Charousek ujął mnie za ramię i potrząsnął nim silnie.

Mistrzu Pernath, jestem taki biedny, że sam zaledwie to pojmuję i muszę chodzić prawie nago, jak włóczęga, spójrz pan tutaj! A bądź co bądź jestem studentem medycyny, jestem wykształconym człowiekiem. – Zerwał swoje wierzchnie ubranie i zdumiony spostrzegłem, że student nie miał koszuli ani marynarki i nosił płaszcz na gołym ciele. – I byłem już taki biedny, kiedym tę bestię, tego wszechmocnego, szanownego doktora Wassory doprowadził do upadku, a i dziś jeszcze nikt nie przypuszcza, że ja to, ja byłem właściwym sprawcą...

W mieście sądzą, że to był niejaki doktor Savioli, który jego praktyki ujawnił i doprowadził go do samobójstwa. Doktor Savioli był jeno⁵⁴ narzędziem w moich rękach! Mówię panu. Ja sam wymyśliłem ten plan i zebrałem materiał, dostarczyłem dowodów i cicho, niepostrzeżenie wyciągałem kamień po kamieniu z budowli doktora Wassory'ego, aż cel osiągnąłem, kiedy żadne skarby świata, żadne podstępny Getta nic już nie mogły poradzić, aby odwrócić klęskę, wymagającą tylko nieznacznego posunięcia. Wie pan, tak, tak jak się gra w szachy – zupełnie tak, jak się gra w szachy⁵⁵. I nikt nie wie, że to byłem ja!

⁵⁴ jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

⁵⁵ wie pan, tak, tak jak się gra w szachy – zupełnie tak, jak się gra w szachy –

Tandeciarz Aron Wassertrum coś przeczuwa, bo nieraz sen mu odbiera jakieś groźne majaczenie, że do tej gry przyłożył rękę ktoś, kogo on nie zna, a który wciąż jest w jego pobliżu, którego jednak on uchwycić nie może – ktoś inny, nie doktor Savioli. Chociaż Wassertrum należy do tych, których oczy zdolne są mury przenikać, nie może jednak zrozumieć, że są umysły, które potrafią wyliczyć, jak poprzez takie mury można kłuć długimi, niewidzialnymi, zatrutymi szpilkami, omijając krzemienie, złoto i szlachetne kruszce, aby trafić w utajone tętno życia.

I Charousek uderzył się w czoło i roześmiał się dziko.

– Aron Wassertrum wkrótce się o tym przekona, tego samego dnia, w którym zechce powiesić doktora Saviolego! Ściśle tego samego dnia.

Zapewniam pana, że kto grając ze mną dopuści do takiego gambitu⁵⁶ z królem i laufrem⁵⁷, ten zawisnie w powietrzu, jak bezradna marionetka na wątej nici, nici którą ja pociągam, niech pan to zrozumie, którą ja pociągam i która nie ma woli własnej.

Student mówił jak w gorączce – spojrzałem mu w oczy

student Charousek nosi być może nazwisko Rudolfa Charouska (1873–1900), silnego i przedwcześnie zmarłego na gruźlicę szachisty węgierskiego czeskiego pochodzenia, urodzonego w Pradze. [przypis edytorski]

⁵⁶ *gambit* – w teorii szachowej wariant, w którym gracz dobrowolnie poświęca materiał (piony, rzadziej figury) za inicjatywę (możliwość ataku). [przypis edytorski]

⁵⁷ *laufer* – goniec (figura szachowa); najsłynniejsza partia Rudolfa Charouska, po którym być może nazwany jest bohater powieści, to jego zwycięstwo nad mistrzem świata Emanuelem Laskerem odniesione w trakcie turnieju w Norymberdze w roku 1896. Charousek zagrał wówczas odgałęzienie gambitu królewskiego zwane gambitem gońca (1.e4 e5 2. f4 exf4 3.Gc4). [przypis edytorski]

zdziwiony.

– Co panu zrobił Wassertrum i jego syn, że jesteś na nich tak zawzięty?

Charousek wzburzony odpowiedział:

– Nie mówmy o tym. Lepiej niech pan zapyta, jak to doktor Wassory skreślił kark. Albo może pan sobie życzy, abyśmy o tym pomówili kiedy indziej? Deszcz ustał. Może pan chce iść do domu?

Charousek zniżył głos, jak ktoś, co się nagle uspakaja. Potrząsnął głową.

– Słyszał pan kiedy, jak się leczy jaskrę⁵⁸ (glaukoma)? Nie? Muszę to panu wyjaśnić, żeby pan wszystko dokładnie zrozumiał, mistrzu Pernath.

A więc słuchaj pan. Jaskra jest to złośliwa choroba we wnętrzu oka, która się kończy ślepotą i istnieje tylko jeden środek, aby zatrzymać postępy choroby, mianowicie tzw. irydektomia⁵⁹, która polega na tym, że z tęczęwki oka usuwa się kęsek⁶⁰ klinowaty. Nieuniknionym skutkiem tej operacji są pewne bardzo przykre przejawy niedowidztwa⁶¹, które pozostają na całe życie; proces ślepienia jednakże najczęściej bywa powstrzymany.

⁵⁸ *jaskra* – choroba prowadząca do nieodwracalnego uszkodzenia nerwu wzrokowego i siatkówki, powodująca pogorszenie lub utratę wzroku; łac. *glaucoma*. [przypis edytorski]

⁵⁹ *irydektomia* – operacja wycięcia fragmentu tęczęwki. [przypis edytorski]

⁶⁰ *kęsek* – tu: fragment. [przypis edytorski]

⁶¹ *niedowidztwo* – dziś popr.: niedowidzenie. [przypis edytorski]

Z diagnozą jaskry sprawa ta ma pewien swój szczególny związek. Mianowicie są okresy, zwłaszcza w początku choroby, gdy najostrejsze symptomata⁶² pozornie zanikają i w takich wypadkach lekarz, choćby nie mógł znaleźć najmniejszego śladu choroby, nie powinien nigdy za pewnik⁶³ uważać, że jego poprzednik, który był innego zdania, z konieczności⁶⁴ się pomylił. Jeżeli jednak zastosowano irydektomię, która może być użytą zarówno przy chorym, jak i przy zdrowym oku, wtedy niepodobna⁶⁵ dowieść, czy jaskra rzeczywiście była, czy też jej nie było.

I oto, opierając się na takich i innych możliwościach, doktor Wassory obmyślił plan straszliwy.

Niezliczoną ilość razy – szczególnie u kobiet – gdy były niewinne zaburzenia w oku – on świadomie konstatował⁶⁶ jaskrę, aby tylko doszło do operacji, która mu nie sprawiała żadnego trudu, przynosiła zaś dużo pieniędzy.

Nareszcie miał istotę zupełnie bezbronną w rękę; tu do ograbienia nie trzeba było nawet śladu odwagi.

Widzisz, mistrzu Pernath, to było zwyrodniałe drapieżne zwierzę, znajdujące się w takich warunkach, w których nawet bez broni i siły mogło rozszarpać swoją ofiarę.

⁶² *symptomata* (daw.) – objawy. [przypis edytorski]

⁶³ *pewnik* – całkowicie pewna informacja. [przypis edytorski]

⁶⁴ *z konieczności* – tu: na pewno. [przypis edytorski]

⁶⁵ *niepodobna* (daw.) – jest nieprawdopodobne bądź niemożliwe. [przypis edytorski]

⁶⁶ *konstatować* – stwierdzać. [przypis edytorski]

Nie ryzykując nic! Nawet najmniejszej stawki – pojmujesz pan?

Dzięki licznym błahym rozprawkom w zawodowych pismach lekarskich doktor Wassory wyrobił sobie imię znakomitego specjalisty i nawet swoim kolegom, zbyt szczerym i przyzwoitym, by go przeniknąć, potrafił oczy piaskiem zasypać i zaimponować nauką.

Naturalnym wynikiem tego rozgłosu były tłumy pacjentów, którzy u niego szukali pomocy.

Gdy przychodził kto ze słabymi zaburzeniami wzroku i dał się zbadać, wtedy doktor Wassory przystępował do dzieła z chytrze obmyślanym planem.

Z początku prowadził zwykłe badanie chorego, lecz aby później mieć na wszelki wypadek wyjaśnienie, zręcznie notował tylko te odpowiedzi, które miały związek z jaskrą.

I ostrożnie sondował, czy już przedtem nie była postawiona diagnoza.

W ciągu rozmowy dawał do zrozumienia, że dostał nagle wezwanie z zagranicy w ważnej naukowej sprawie i z tego powodu musi już jutro wyjechać.

Prześwietlając oko promieniami elektryczności, którą przy tym stosował, umyślnie sprawiał choremu ból niesłychany.

Wszystko z rozmysłem! Wszystko celowo!

Po zbadaniu, gdy pacjent trwożliwie pytał, czy jest powód do obawy, wtedy Wassory wykonywał pierwsze posunięcie szachowe.

Siadał naprzeciw chorego, czekał chwilę, a potem dobitnie i wyraźnie wypowiadał takie słowa: Ślepotą obu oczu – nieunikniona w najbliższym czasie.

– Scena, która z natury rzeczy wynikała, była okropna. Często ludzie mdleli, płakali, krzyczeli, w rozpaczy rzucali się na ziemię. Stracić wzrok – to znaczy stracić wszystko. I gdy nastąpiła chwila odpowiednia, gdy badana ofiara, obejmując kolana doktora Wassory, pytając błagalnie, czy na tym bożym świecie nie znajdzie się dla niej ratunku, wtedy krwiożerczy zwierz wykonywa drugie posunięcie szachowe – i sam niby to staje się bogiem, który w mocy swej miał ocalenie.

Wszystko, wszystko na świecie jest jak gra w szachy, mistrzu Pernath.

Jedyne, co mogłoby tu pomóc – mówił po namyśle doktor Wassory – to natychmiastowa operacja – i z pożądaną próżnością, która się w nim nagle budziła, długo i szeroko opisywał taki lub inny wypadek, który z wypadkiem obecnym ma bardzo wielkie podobieństwo; opowiadał, ilu to chorych jemu jedynie zawdzięcza ocalenie wzroku itp.

Rozkoszował się formalnie myślą, że może być uważany za istotę wyższą, w której ręku złożone jest ocalenie i zagłada bliźnich.

Lecz bezbronna ofiara siedziała przed nim z sercem pełnym palących zapytań, z czołem perlącym się od potu i trwogi, nie miała odwagi ani na chwilę przerwać mu mowę, z obawy, aby go

nie rozgniewać, jego, jedyne, co mu zdoła dopomóc.

Doktor Wassory zaś zamykał rozmowę słowami, że do tej operacji mógłby przystąpić dopiero po kilku miesiącach, gdy wróci z podróży.

Miejmy nadzieję – mówił – gdyż w takich wypadkach zawsze się powinno spodziewać najlepszego – miejmy nadzieję, że wtedy nie będzie jeszcze za późno.

Naturalnie chory wówczas zrywał się zawsze przerażony – i tłumaczył, że pod żadnym warunkiem, ani jednego dnia nie chce czekać dłużej – i błagalnie prosił o wskazówkę, czy jaki inny okulista w mieście nie mógłby wykonać operacji.

Wtedy nadchodziła chwila, kiedy doktor Wassory zadawał rozstrzygający cios.

Kroczył po pokoju w głębokiej zadumie, jakby zgryziony⁶⁷ marszczył czoło – i zakłopotany szeptał, że wdanie się⁶⁸ innego lekarza ze względu na konieczność prześwietlania elektrycznością jest niepożądane, gdyż chory sam chyba wie, jakie to bolesne; powtórne użycie tych oślepiających promieni – pociągnęłoby za sobą jak najfatalniejsze skutki.

Inny lekarz, pominąwszy to, że niektórym właśnie brak wprawy koniecznej do **irydektomii**, musiałby na nowo oczy badać – i dopiero po upływie pewnego czasu, gdy nerwy wzrokowe odpoczną, przystąpić do operacji chirurgicznej.

Charausek zacisnął pięści.

⁶⁷ zgryziony (daw.) – zmartwiony (por. zgryzota). [przypis edytorski]

⁶⁸ wdać się – włączyć się. [przypis edytorski]

– W szachach nazywamy to „ruchem musowym⁶⁹”, drogi mistrzu Pernath! – Co następowało potem – były to ciągłe ruchy musowe – jeden po drugim.

Na wpeł przytomny z rozpaczy pacjent zaklinał doktora Wassory, aby go wybawił, aby na jeden dzień podróż odłożył i sam wykonał operację. Chodziło tu więcej niż o rychłą śmierć; chodziło tu o straszną, męczącą obawę, że każdej chwili możesz oślepnąć, co jest gorsze ponad wszystko.

I im bardziej potwór narzekał i ubolewał, że odłożyć podróż to narazić się na nieobliczone szkody, tym większe sumy dobrowolnie składali mu chorzy.

Gdy w końcu suma wydawała się doktorowi Wassory dostateczną, ustępował – i jeszcze tego samego dnia, zanim by jakiś wypadek mógł jego plan odkryć, zaszczepiał zdrowym oczom nieuleczalne cierpienie, bezustanną trwogę oślepięcia, która zamieniała życie w torturę; ślady jednakże tego łotrstwa były na zawsze zatarte.

Dzięki takim operacjom zdrowych oczu doktor Wassory nie tylko powiększał swoją sławę niezrównanego lekarza, któremu za każdym razem udało się wstrzymać grożącą ślepotę, lecz jednocześnie zaspakajał swoją bezmierną chciwość i składał daninę swej próżności, gdy nieświadome na ciele i majątku pokrzywdzone ofiary uważały go i ceniły jako swego zbawcę.

Tylko człowiek, który wszystkimi nerwami tkwił w Getcie i w jego niezliczonych niedostrzegalnych, a jednak niepokonanych

⁶⁹ *ruch musowy* – dziś raczej: *ruch wymuszony*. [przypis edytorski]

środkach i zasobach; który się od dzieciństwa uczył czatować w zasadzce jak pająk; który znał kaźdego człowieka w mieście i przejrzał kaźdego we wszystkich stosunkach i warunkach życiowych – tylko taki – „pół jasnovidzący” – jak go możemy nazwać – mógł przez długie lata popełniać tego rodzaju ohydy.

I gdyby nie ja, to do dzisiaj prowadziłby on jeszcze swoje rzemiosło, praktykowałby je do późnej starości i w końcu jako szanowany patriarcha⁷⁰, w kole swych drogich⁷¹, wciąż powszechną otoczony, używałby schyłku żywota – aż by w końcu zdechł jak pies.

Lecz ja również wyrosłem w Getcie, moja krew również nasiąkała atmosferą piekielnej chytrości i dlatego mogłem go doprowadzić do upadku, tajemniczo tak, jak siły niewidzialne gubią tych, których chcą zgubić. Rzekłbyś – z jasnego nieba piorun w niego uderzył.

Doktor Savioli, młody lekarz niemiecki⁷², miał tę zasługę, że go zdemaskował; ja to wysunąłem doktora Savioli na zewnątrz; sam zaś gromadziłem dowód za dowodem, aż nastał dzień, w którym władza państwowa nałożyła rękę na doktorze Wassorym.

Wtedy zwierz popełnił samobójstwo. Błogosławiona to chwila!

Jak gdyby mój sobowtór stanął przy nim i prowadził jego

⁷⁰ *patriarcha* – tu: głowa rodziny. [przypis edytorski]

⁷¹ *drodzy* – bliscy. [przypis edytorski]

⁷² *doktor Savioli, młody lekarz niemiecki* – dalej mówi się o nim jako o Włochu. [przypis edytorski]

rękę, aby życie sobie odebrał z tej flaszeczki amylnitrytu⁷³, którą naumyślnie zostawiłem w jego gabinecie przy sposobności, gdy pewnego razu celowo sam go doprowadziłem do tego, że i mnie postawił fałszywą diagnozę jaskry: przy czym szczerze i gorąco życzyłem mu, aby ten amylnitryt zadał mu cios ostateczny.

W mieście mówiono, że umarł na paraliż mózgu. W istocie amylnitryt zabija jak paraliż mózgu. Lecz pogłoska ta długo utrzymać się nie mogła.

—

Charousek skamieniał nagle i ustał nieruchomy, jak gdyby się zagłębił w jakiś problemat: potem spojrział w kierunku tandeciarni Wassertruma.

– Teraz – szeptał – on jest sam, zupełnie sam ze swoją chciwością – i – i ze swoją lalką woskową!

—

Serce mi uderzało jak młotem.

Ze zgrozą spoglądałem na Charouska. Czy miał pomieszanie zmysłów? Gorączka mu widocznie podsuwa takie fantastyczne opowieści.

Naturalnie, naturalnie. Wszystko to on wymyślił, uroił sobie, wyśnił.

Nie mogą być prawdą te okropne rzeczy, jakie mówił o

⁷³ amylnitryt – azotyn amylny, stosowany jako środek obniżający ciśnienie krwi i napięcie mięśni gładkich bądź jako antidotum na zatrucie cyjankiem. [przypis edytorski]

okuliście. To suchotnik⁷⁴: gorączka śmierci mózg jego trawi.

Chciałem go uspokoić jakimś żartobliwym słowem i myśli jego skierować na weselsze tory.

Nagle, zanim znalazłem odpowiednie słowo, błyskawicznie przypomniałem sobie twarz Wassertruma z rozciętą górną wargą, tak jak wtedy, gdy przez otwarte drzwi spoglądał do mego pokoju okrągłymi, rybimi oczyma.

Doktor Savioli! doktor Savioli! – tak, tak się nazywał ów młody człowiek, o którym mi poufnie szepnął jasełkarz⁷⁵ Zwak jako o znakomitym lokatorze, który od niego wynajął pracownię.

Doktor Savioli! Jak krzyk nurtowało we mnie to imię. Szereg mglistych obrazów przesuwiał się przed moją myślą, prześcigał się w strasznych domysłach, które na mnie runęły jak burza.

Chciałem rozpytać Charouska, pełny lęku wszystko mu opowiedzieć, czego wtedy doznałem: gdy naraz⁷⁶ widzę, że studenta opanował gwałtowny atak kaszlu, który go niemal wywracał. Mogłem tylko zauważyć, jak to on, z trudem opierając się rękami, dreptał w deszcz – i na odchodnym pobieżnie skinął mi głową.

Tak, tak, czuję, on ma słuszność. Nie majaczy w gorączce; nieujęte widmo zbrodni czai się tu w tych ulicach we dnie i w nocy i pragnie się ucieleśnić.

Zawisło w powietrzu, a my go nie dostrzegamy. Nagle wpada

⁷⁴ *suchotnik* – gruźlik. [przypis edytorski]

⁷⁵ *jasełkarz* – lalkarz. [przypis edytorski]

⁷⁶ *naraz* – nagle. [przypis edytorski]

w którą z ludzkich dusz – nikt z nas tego nie przeczuwa. A kiedy w końcu zdążymy to pojąć – widmo traci swoją postać i wszystko jest po dawnemu. I tylko niewyraźne szmery, niewyraźne słowa o jakimś okropnym zdarzeniu dochodzą do nas.

W jednym momencie zrozumiałem te zagadkowe stworzenia, które mieszkały naokoło mnie; bez woli własnej wloką się one przez byt, ożywione jakimś niewidzialnym prądem magnetycznym, co tak przez ich istotę przepływa, jak przedtem bukiet ślubny płynął po strugach brudnego ścieku.

Zdało mi się nagle, że wszystkie domy spoglądały na mnie podstępny obliczem, pełne bezimiennej złośliwości; wrota były jak czarne, szeroko rozwarte gęby, w których język wygnił do cna; wielkie paszcze, które każdej chwili mogły wyrzucić przeraźliwy krzyk, tak przeraźliwy i pełny nienawiści, że zatrwożyłyby nas wskroś po sam rdzeń duszy.

Cóż to na zakończenie mówił mi student o tandeciarzu? – Szeptem powtarzałem sobie jego słowa: – „Aron Wassertrum jest obecnie sam na sam ze swoją chciwością i swoją lalką woskową”.

Cóż on rozumiał pod tą „lalką woskową”?

To musi być przenośnia, uspakajałem się, jedna z tych chorobliwych metafor, którymi Charousek lubi wywoływać podziw, których się nie rozumie, a które później, gdy niespodzianie staną się przejrzyste, tak głęboko mogą uderzyć naszą myśl, jak przedmioty niezwykłej formy, na które nagle padł jaskrawy promień światła.

Odetchnąłem głęboko, aby się uspokoić i odepchnąć straszne wrażenie, jakie sprawiła na mnie opowieść Charouska.

Spojrzałem uważniej na ludzi, którzy wraz ze mną czekali w sieni domu: teraz stał przy mnie gruby starzec, ten sam, który przedtem śmiał się tak odrażająco.

Miał na sobie czarny płaszcz i czarne rękawiczki. Nieruchomo nabrzmiąłym okiem spoglądał na bramę przeciwległego domu.

Jego gładko wygolona twarz o pospolitych rysach drgała z podniecenia.

Mimo woli spojrzałem w tym samym kierunku i spostrzegłem, że jego wzrok jak oczarowany spoczywa na rudowłosej Rozynie, która stała na przeciwnej stronie ulicy ze swoim niezmiennym uśmiechem na ustach.

Starzec próbował dawać jej znaki. Widziałem, że Rozyna doskonale to zauważyła, ale zachowywała się, jak gdyby nic nie rozumiejąc. Wreszcie starzec nie wytrzymał. Przebrnął na palcach na drugą stronę ulicy, ze śmieszną elastycznością przeskoczył kałużę – niby duża, czarna piłka kauczukowa.

Zdaje się, że go tu w okolicy znano, gdyż usłyszałem ze wszech stron uwagi, dotyczące jego osoby. Stojący tuż za mną jakiś włóczęga z czerwoną wełnianą chustką na szyi, w niebieskiej furażerce⁷⁷ wojskowej, z cygarem Virginia za uchem – robił ustami jakieś szydercze miny, których nie rozumiałem.

Zrozumiałem tylko, że w żydowskim mieście – nazywali

⁷⁷ *furażerka* – miękka, podłużna czapka bez daszka. [przypis edytorski]

starego „wolnym mularzem⁷⁸”, a w ich gwarze to przerwisko oznaczało kogoś, co poszukiwał dziewcząt małoletnich, ale dzięki serdecznym stosunkom z policją zabezpieczony był od wszelkiej nieprzyjemności.

Później twarz Rozyny i postać starca zniknęły w mrokach sieni.

⁷⁸ *wolny mularz* – w znaczeniu podstawowym: członek masonerii. [przypis edytorski]

Poncz⁷⁹

Otworzyliśmy okno, żeby wypuścić dym tytoniowy z mego małego pokoju.

Zimny wiatr nocny wionął do środka i poruszył płaszcze tak, że się z lekka zaczęły kołysać.

– Szanowna ozdoba głowy Prokopa najchętniej by się stąd gdzie wyniosła – powiedział Zwak i wskazał na wielki kapelusz muzyka: szerokie rondo kapelusza poruszało się jak czarne skrzydła.

Jozue Prokop wesoło mrugnął powiekami.

– Wyniosłaby się – rzekł – najchętniej by się wyniosła.

– Poleciałaby do Loisiczka na muzykę taneczną – zabrał głos Vrieslander.

Prokop zaczął się śmiać i ręką jął⁸⁰ uderzać w takt do wtóru dźwiękom, które fala zimowego powietrza unosiła poprzez dachy.

Potem zdjął ze ściany moją starą, połamaną gitarę; udawał, że dotyka rozpękniętych strun i zaśpiewał skrzeczącym falsetem i przeciągłym akcentem dziwną śpiewkę w gwarze złodziejskiej.

⁷⁹ poncz – rodzaj gorącego napoju alkoholowego. [przypis edytorski]

⁸⁰ jąć (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

„An Bein – del von Ei – sen⁸¹

recht alt

An Stran – zen net gar

a so kalt

Messinung, a' Raucherl

und Rohn

und immerrr nurrr putzen – – —

—

– Jak on wspaniale i prędko nauczył się mowy złodziejskiej!

– i Vrieslander roześmiał się głośno i zanucił:

„Und stock – en sich Aufzug

und Pfiff

Und schmallen an eisernes

G'süff.

Juch —

Und Handschuhkren, Harom net san – – —

—

– Tę osobliwą śpiewkę co wieczór grzechoce u Loısiczka myszugen⁸² Neftali Szafranek z zielonym daszkiem, a wyszminkowana kobieta gra na harmonice i mruży tekst –

⁸¹ *An Bein – del von Ei – sen* – Piosenka w gwarze złodziejskiej prasko-niemieckiej nie nadaje się do przekładu. Podajemy ją w oryginale (przyp. tłum.) Piosenka opowiada o grożeniu nożem, zabieraniu pieniędzy i przepuszczaniu ich; Red.WL. [przypis redakcyjny]

⁸² *myszugen* – właśc. *meszugene* (jidisz): wariat, pomyłony. [przypis edytorski]

objaśnił mnie Zwak. Musisz też kiedy iść z nami do tego szynku, mistrzu Pernath! Może później, kiedy skończymy poncz. Jak pan sądzi? Dla uczczenia dzisiejszego dnia pańskich urodzin.

– Tak jest. Chodź pan z nami później – rzekł Prokop i zamknął okno – Trzeba to zobaczyć.

Potem wypiliśmy gorący poncz i oddaliśmy się swoim myślom.

Vrieslander wycinał jakąś marionetkę⁸³.

– Jozue – przerwał ciszę Zwak – wyście nas formalnie odcięli od świata zewnętrznego! Od chwili, gdyście zamknęli okno – nikt ani słowem się nie odezwał.

– Myślałem właśnie, gdy tu przed chwilą nasze palta zaczęły się kołysać, jakie to dziwne, że wiatr porusza rzeczy martwe! – szybko odpowiedział Prokop, jakby chciał usprawiedliwić swe milczenie. – Jest to zdumiewające, gdy nagle zaczynają się trzepotać przedmioty, które zazwyczaj leżą bez życia. Nieprawdaż? Widziałem kiedyś, jak na pustym podwórku wielkie strzępy papieru (choć nie czułem wcale wiatru, gdyż stałem osłonięty domem) gonily się w kółko z wściekłością i ścigały się wzajemnie, jakby sobie śmierć zaprzysięgły. Chwilę później zdawały się uspokojone, gdy naraz napadła je znowu szalona zawziętość i z uporem bezmyślnym razem w kąś się wcisnęły, na nowo się rozprysły i w końcu zniknęły za rogiem. Tylko jakaś gruba gazeta nie mogła podążyć za nimi; została na chodniku, podnosiła się i opadała bezradnie, jakby jej tchu

⁸³ *marionetka* – lalka poruszana za pomocą sznurków. [przypis edytorski]

zabrakło i z trudem chwyciła powietrze. Wówczas przyszło mi do głowy mroczne podejrzenie: cóż, jeżeli w końcu nasze życie niczym innym nie jest, jak takim strzępkiem papieru? Czy to nie jaki niewidzialny, nieuchwytny wiatr pomiata nami w tę i ową stronę – i nadaje kierunek naszym czynom, gdy nam roi się w zaślepieniu, że idziemy za naszą własną wolną wolą? Cóż, jeżeli nasze życie niczym więcej nie jest, jak zagadkowym wiatrem wirowym, wiatrem, o którym Biblia mówi: wiesz-li, skąd on przybywa i dokąd idzie?⁸⁴ Czyż nie śni się nam czasem, że stoimy w głębokiej wodzie i łowimy srebrne ryby, a nic innego się nie stało, prąd zimnego powietrza musnął nasze ręce?

– Prokopie, mówicie słowami Pernatha. Cóż to się z wami dzieje? – pytał Zwak i nieufnie spojrział na muzyka.

– Historia o księdze *Ibbur*⁸⁵, którą przedtem mistrz nam opowiadał. Szkoda, żeście przyszli tak późno, i żeście jej nie słyszeli! Ta historia jakby echem w nim przemawia – powiedział Vrieslander.

– Historia o księdze?

– Właściwie historia o człowieku, który przyniósł książkę i wyglądał dziwnie. Pernath nie wie, jak się ten człowiek nazywa,

⁸⁴ *wiesz-li, skąd on przybywa i dokąd idzie?* – por. J 3,8: Wiatr wieje tam, gdzie chce, i szum jego słyszysz, lecz nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąży. Tak jest z każdym, który narodził się z Ducha. [przypis edytorski]

⁸⁵ *ibbur* – w pewnych odłamach mistyki żydowskiej słowo to oznacza w uproszczeniu wzmocnienie duszy żyjącego człowieka przez tymczasowo łączącą się z nią inną sprawiedliwą duszę przebywającą poza ciałem. Zwykle wynika to z potrzeby spełnienia przez duszę bezcielesną jakiejś misji. [przypis edytorski]

gdzie mieszka, czego chciał, a chociaż jego postać musi być bardzo uderzająca – nie da się jednak żadną miarą⁸⁶ określić dokładnie.

Zwak przysłuchiwał się rozmowie.

– To jest godne zastanowienia – rzekł po chwili. Czy obcy nie był czasem gołobrody i czy nie miał oczu skośnych, zezowatych?

– Zdaje się – odpowiedziałem – to jest – ja – ja – tak – tak – wiem to na pewno. Więc go znacie?

Jasełkarz⁸⁷ głową potrząsnął:

– On mi tylko kogoś przypomina... To jakby Golem.

Malarz Vrieslander opuścił nożyk swój na ziemię.

– Golem? Już tak wiele o nim słyszałem. Czy wiecie coś o Golemie, Zwak?

– Któż może powiedzieć, że coś wie o Golemie? odpowiedział Zwak i wzruszył ramionami. – Zaliczają go do dziedziny baśni, aż pewnego dnia zdarza się coś, co nagle znów powołuje go do życia. I długo jeszcze potem każdy o nim mówi i fama rozrasta się do potworności. Mówią, że początek tej historii sięga aż wieki wieków. Podług dawno zaginionych opowieści, pewien rabin⁸⁸ kabalista⁸⁹ miał sporządzić sztucznego człowieka – tak zwanego Golema – który jako posługacz pomagał mu dzwonić

⁸⁶ *żadną miarą* – w żaden sposób. [przypis edytorski]

⁸⁷ *jasełkarz* – lalkarz. [przypis edytorski]

⁸⁸ *rabin* – (z hebr. *rabbi*, czyli nauczyciel), funkcja religijna w judaizmie. [przypis edytorski]

⁸⁹ *kabalista* – znawca Kabały, to jest mistycznej doktryny judaistycznej, na której oparty był m. in. ruch chasydzki. [przypis edytorski]

w synagodze⁹⁰ i wykonywał różne cięższe roboty.

Lecz z tej operacji nie powstał bynajmniej prawdziwy człowiek, ożywiała go tylko ślepa, na pół świadoma dusza wegetacyjna. Jak mówią nadto, działa się to tylko za dnia i dzięki wpływom magnetycznej kartki, zatkniętej za zębami – wyzwalało astralne⁹¹ siły bytu.

I gdy pewnego wieczoru po modlitwie rabin zapomniał z ust Golema wyjąć pieczęć, ten wpadł w szał, w ciemnościach wybiegł przez ulice i rozbijał, co mu stało po drodze.

Aż w końcu rabin wybiegł naprzeciw niego i czarodziejską kartkę zniszczył. Wtedy ów stwór runął bez życia. Nic nie zostało po nim, prócz karłowatej figurki glinianej, którą dziś jeszcze pokazują w starej synagodze. —

– Ten sam rabin – dodał Prokop – wezwany był przez cesarza do Burgu⁹², aby wywołać cienie umarłych i uczynić je widzialnymi⁹³. Dzisiejsi badacze twierdzą, że posługiwał się latarnią magiczną⁹⁴.

⁹⁰ *synagoga* – żydowski dom modlitw, niekiedy również siedziba instytucji takich jak sąd rabinacki. [przypis edytorski]

⁹¹ *astralny* – tu: niematerialny. [przypis edytorski]

⁹² *Burg* (niem.) – zamek. [przypis edytorski]

⁹³ *wezwany był przez cesarza do Burgu, aby wywołać cienie umarłych i uczynić je widzialnymi* – w Polsce istnieje podobna legenda o Zygmuncie Auguście wzywającym mistrza Twardowskiego, by ten umożliwił mu kontakt ze zmarłą Barbarą Radziwiłłówną. [przypis edytorski]

⁹⁴ *latarnia magiczna* – rodzaj projektora, znanego już w XVII w., rzutującego obrazy ze szklanych przeźroczy. [przypis edytorski]

– Tak, żadne wyjaśnienie nie jest dość średniowieczne, jeżeli u współczesnych nie znajdzie poklasku – pewny siebie rzeczce Zwak. – Jak gdyby cesarz Rudolf⁹⁵, który całe życie zajmował się takimi rzeczami, nie przejrzał natychmiast takiego kuglarstwa⁹⁶! Właściwie nie wiem, skąd pochodzi baśń o Golemie, ale to wiem, że owo coś, co umrzeć nie może, istnieje i że jego istnienie związane jest z tą dzielnicą. – Z pokolenia w pokolenie mieszkali tu moi przodkowie, lecz nikt nie zna tyłu, co ja – rzeczywistych i zasłyszanych wspomnień o periodycznych⁹⁷ zjawach⁹⁸ Golema.

Zwak nagle zamilkł i razem z nim czułeś, jak jego myśli cofały się wstecz ku czasom zamierzchłym i ubiegłym.

Gdy z podniesioną głową siedział przy drzwiach, a w blasku światła lampy jego czerwone, młodzieńcze policzki odcinały się dziwnie od siwych włosów, mimo woli porównywałem jego twarz z maseczkami jego kukiełek, które mi pokazywał tak często. Dziwne, jak ten starzec był do nich podobny. Ten sam wyraz i ten sam owal twarzy.

Są na świecie rzeczy, które nie mogą się wyzwolić same od siebie. I rozpatrując losy Zwaka, uważałem za rzecz niesłychaną,

⁹⁵ *cesarz Rudolf* – Rudolf II Habsburg (1552–1612), król Czech i Węgier, arcyksiążę Austrii i król Niemiec, co pozwalało mu na dziedziczenie tytułu cesarza. Z czasem stracił władzę na rzecz brata Macieja. Zasłynął jako badacz nauk tajemnych, patron alchemików i okultystów. [przypis edytorski]

⁹⁶ *kuglarstwo* – sztuczka. [przypis edytorski]

⁹⁷ *periodyczny* – następujący okresowo, w pewnych odstępach czasu. [przypis edytorski]

⁹⁸ *zjawą* – tu: pojawienie się. [przypis edytorski]

żeby człowiek taki jak on, który otrzymał wychowanie lepsze niż jego przodkowie i który mógł być doskonałym aktorem, powrócił nagle do brudnego pudła marionetek, aby włóczyć się po jarmarkach i wykonywać lalkami niezręczne ukłony, przedstawiając senne przygody tych lalek, które jeszcze jego przodkom były źródłem zarobkowania. —

Rozumiałem, że nie był w stanie rozstać się z nimi; żył ich życiem, a gdy się od nich oddalał, zamieniały się one w jego myśli, zamieszkiwały w jego mózgu i nie dawały mu spokoju, póki nie powrócił. Dlatego też kochał je i dumnie ubierał w błyskotki.

– Zwak, nie opowiesz nam nic więcej? – zagadnął Prokop starca i pytająco spojrzął na Vrieslandera i na mnie, czy nie podzielamy jego życzenia.

– Nie wiem, od czego zacząć – odparł z wahaniem Zwak – od czego zacząć? Historię Golema trudno ułożyć. Jak wam Pernath mówił, nie wiadomo dokładnie, jak ten nieznajomy wyglądał i niepodobna go określić. Mniej więcej co lat 33 powtarza się pewne zdarzenie na naszych ulicach, które, choć nie ma w sobie nic osobliwego, wywołuje zdumienie. Zdarzenie to wymaga pewnych objaśnień i uzupełnień. Mianowicie bywa tak, że zupełnie obcy człowiek, bez zarostu, o żółtym kolorze twarzy na podobieństwo rasy mongolskiej, staromodnie ubrany, wychodzi z ulicy Staroszkolnej, przechodzi przez dzielnicę żydowską – idąc miarowym, dziwnie utykającym krokiem, jakby każdej chwili miał upaść przed siebie – i nagle – znika bez śladu.

Zazwyczaj skręca w pewną ulicę – i tam przepada. Czasami trafia się, że ruchem swoich kroków opisuje koło i powraca do punktu, z którego wyszedł, do starego domu w pobliżu synagogi. Ten i ów wzburzony zapewnia, że go widział na rogu, jak szedł naprzeciwko, a jednak choć najwyraźniej widział go naprzeciwko, jego postać rozplywa się w oddali, zmniejsza się coraz bardziej, a w końcu znika zupełnie.

Przed 66 laty wrażenie, jakie obudził, było szczególnie głębokie, gdyż przypominam sobie – byłem wtedy zupełnie małym chłopcem – przeszukiwano dom na Staroszkolnej od góry do dołu. Stwierdzono, że istnieje rzeczywiście w tym domu pokój o oknach okratowanych, do którego nie masz⁹⁹ żadnego wejścia. We wszystkich oknach zawieszono bieliznę, żeby z ulicy można było od razu rzecz ocenić – i tym sposobem natrafiono na ślad rzeczywisty.

Nic więcej nie uzyskano. Pewien człowiek, chcąc zajrzeć do środka, spuścił się z dachu na linie. Zaledwie jednak zbliżył się do okna, lina się zerwała i nieszczęsny rozbił czaszkę o chodnik uliczny. Później, gdy badanie ponawiano, spoglądano w okno z pewnej odległości.

Ja sam spotkałem Golema blisko przed 33 laty. Wyszedł z tak zwanego domu przechodniego naprzeciw mnie tak, że szliśmy prawie tuż obok siebie. – Jeszcze dzisiaj nie mogę pojąć, co wtedy działo się we mnie. Każdy spodziewał się z dnia na dzień spotkać Golema. Lecz w danej chwili, na pewno – najpewniej,

⁹⁹ *nie masz* (daw.) – nie ma (nieosobowa forma czasownika). [przypis edytorski]

zanim go ujrzałem – zabrzmiał we mnie jakiś krzyk: Golem! I w tej samej chwili wynurzył się ktoś z ciemności bramy – i ów nieznamy przeszedł koło mnie. W mgnieniu oka później wpadła na mnie fala bladych, podnieconych postaci, która zasypała mnie pytaniami, czy go widziałem. Gdym odpowiedział na pytania, spostrzegłem, że język mój, którego przedtem nie czułem, uwolnił się od kurczu. Byłem formalnie zdumiony, że mogę się poruszać i najwyraźniej uświadomiłem sobie, że w przeciągu jednego uderzenia serca znajdowałem się jakby w letargu.

Wiele i często myślałem o tym i zdaje mi się, że będę najbliższy prawdy, jeżeli powiem: zawsze w życiu pokolenia raz jeden przebiega błyskawiczna epidemia duchowa w dzielnicy żydowskiej, napada umysły żyjących w jakimś nieokreślonym celu, który dla nas na zawsze zostaje ukryty – i jak widziadło przybiera kontury jakiejś charakterystycznej istoty, która zapewne żyła tu przed wiekami i pragnie się ucieleśnić. Być może jest ona między nami, ale my nie uważamy jej za rzeczywistą. Podobnie nie słyszymy dźwięku drgającego kamertonu¹⁰⁰, o ile nie dotkniemy nim kawałka drzewa, co je pobudza również do drgania. Być może jest to tylko coś niby psychiczny wytwór sztuki bez immanentnej¹⁰¹ świadomości – wytwór sztuki, który powstaje tak, jak kryształ wyłania się z

¹⁰⁰ *kamerton* – urządzenie wydające dźwięk o stałej wysokości, używane do strojenia instrumentów. [przypis edytorski]

¹⁰¹ *immanentny* (filoz.) – zawarty w czymś. [przypis edytorski]

bezkształtności podług pewnego starego prawa. – Któż to wie?

Jak w parne dni do najwyższego stopnia rośnie napięcie elektryczności, aż w końcu wywołuje błyskawicę: czyż nie mogło być tak samo, że z nagromadzonych tu i nigdy niezmiennających się myśli, które w Getcie zatruwają powietrze, również następuje gwałtowne, nagłe ich wyładowanie, eksplozja psychiczna, która naszą senną świadomość na światło dzienne niby biczem pędzi – tworząc tam błyskawicę naturalną – tu zaś widmo, które w wyrazie twarzy, ruchu i zachowaniu nieomylnie objawić się musi we wszystkich razem i w każdym z osobna, jako symbol duszy tłumy, o ile jesteśmy w stanie dokładnie rozumieć tajemniczą mowę form zewnętrznych.

I jak niektóre zjawiska zapowiadają uderzenie piorunu – tak i tu pewne groźne wróżby świadczą o bliskim zejściu tego widma do królestwa rzeczywistości. Kęs¹⁰² opadniętego starego muru przybiera postać krocącego człowieka, a w szronie na oknach tworzą się rysy stężyłych twarzy. Piasek z dachu zdaje się spadać inaczej niż zwykle – i w nieufnym przechodniu budzi się podejrzenie, że jakaś niewidzialna inteligencja, która w obawie światła kryje się tajemnie, rzuca go na ziemię, próbując w sposób nieokreślony urobić zeń wszelkiego rodzaju postacie, wyłaniające się ku bytowi. Gdy oko spocznie na jednostajnej zmarszczce lub nierówności skóry, opanowuje nas zdolność, by wszędzie dostrzegać dziwne kształty, które w naszych rojeniach urastają do rozmiarów olbrzymich. I wciąż poprzez

¹⁰² *kęs* – tu: kawałek. [przypis edytorski]

te schematyczne zakusy nagromadzonych myśli, które mają przeciągać skroś codzienności, niby czerwona nić płynie bolesna pewność, że nasza najbardziej wewnętrzna treść umyślnie a wbrew naszej woli bywa tu wysysana, aby z niej postać widma mogła być uplastyczniona.

Skorom usłyszał zapewnienie Pernatha, że był u niego człowiek bez zarostu, o skośnych oczach, natychmiast stanął w mojej myśli Golem, tak jak go widziałam wówczas. Stanął przede mną, jak gdyby wyrósł z ziemi. Na chwilę ogarnęła mnie głucha trwoga, że blisko mnie znajduje się coś niewytłumaczonego; taka sama trwoga, jaką raz przeżyłem już w swoich latach dziecięcych, gdy pierwsze groźne zapowiedzi, że Golem się zbliża, rzucały swe cienie.

Jest temu lat 66 i sprawa ta wiąże się z wieczorem, kiedy narzeczony mojej siostry przyszedł do nas w odwiedziny i kiedy miano oznaczyć dzień ślubu.

Żartem lano wtedy ołów. Ja stałem z rozdziawionymi ustami – i nie rozumiałem istoty tej zabawy. W bujnej swej wyobraźni dziecinnej łączyłem to z Golemem, o którym często słyszałem od swego dziadka. Wyobrażałem też sobie, że każdej chwili drzwi się muszą otworzyć i nieznajomy wejdzie. Siostra moja wylała z łyżki płynny metal w naczynie z wodą i roześmiała się wesoło, widząc moje wzruszenie. Zwiędłą drżącą ręką dziadek mój wyjął ołowianą figurę i trzymał ją pod światło. Nagle powstało ogólne zdumienie. Rozmawiano głośno między sobą. Chciałem się do nich docisnąć, ale mnie odsunęto.

Później, gdy byłem starszy, powiedział mi mój ojciec, że roztopiony ołów przybrał formę małej, bardzo wyraźnej głowy – równej i okrągłej, jak gdyby ulanej w sztancy – a tak podobnej z rysów do Golema, że wszyscy byli w podziwieniu.

Często rozmawiałem o tym z archiwistą Szemajahem Hillelem, który przechowuje rzeczy starej synagogi i ma pewną figurę z czasów cesarza Rudolfa. Jest on doskonałym znawcą Kabały¹⁰³ i sądzi, że owa bryłka gliniana o nibyludzkich członkach¹⁰⁴ jest to nic innego, jak jakaś dawna wróżba, podobnie jak w moim wypadku ołowiana głowa. Nieznajomy, który zniknął, musiał to być obraz fantazji lub myśli; obraz ten ów rabin średniowieczny pierwszy pomyślał żywym, zanim go zdołał przyrodzić materią – a teraz w prawidłowych¹⁰⁵ odstępach czasu, w tymże samym astrologicznym układzie gwiazd, w jakim powstał – obraz ten, widmo raczej, powraca, udęczone pragnieniem życia materialnego.

Także zmarła żona Hillela widziała Golema oko w oko i czuła, że jest niby w letargu¹⁰⁶ póty, póki ta zagadkowa postać znajduje się w pobliżu. Miała – powiada – niezłomne przekonanie, że kiedyś mogła to być jej własna dusza, która – na chwilę ciało jej opuściwszy – stanęła na przeciw niej i zeszywniała

¹⁰³ *Kabała* – mistyczna doktryna judaistyczna, na której oparty był m. in. ruch chasydzki. [przypis edytorski]

¹⁰⁴ *członki* (daw.) – kończyny. [przypis edytorski]

¹⁰⁵ *prawidłowy* – tu: regularny. [przypis edytorski]

¹⁰⁶ *letarg* – stan śmierci pozornej. [przypis edytorski]

z rysami obcej istoty na twarzy. Mimo straszne przerażenie¹⁰⁷, które ją wówczas opanowało, na sekundę jednak nie straciła świadomości, że ów obcy może być tylko częścią jej własnej duszy.

—
– To nie do wiary – szepnął zagłębiony w myślach Prokop.

Malarz Vrieslander był także zaszperany w głębokim rozważaniu tej tajemnicy.

Wówczas zapukano do drzwi. Weszła stara kobieta, która mi wieczorem przynosi wodę i w ogóle to, co mi potrzebne; postawiła gliniany dzbanek na podłodze i wyszła w milczeniu.

Wszyscy nagle spojrzeliśmy dokoła, rozglądając się po pokoju – niby przebudzeni ze snu, ale przez długi czas jeszcze nikt nie przemówił ani słowa.

Jakby jakiś nowy wpływ wślizgnął się wraz ze starą we drzwi, wpływ, do którego wpierw trzeba się było przyzwyczać.

– Ale! Ta ruda Rozyna – to jest także twarz, której niepodobna się pozbyć – a która ci nieustannie wygląda z każdego rogu i z każdego kąta – powiedział nagle Zwak bez żadnego związku z tym, o czym była mowa. Ten stężały, wyszczerzony uśmiech znam już niemal cały wiek ludzki. Naprzód babka, potem matka! I zawsze ta sama twarz, i nigdy innych rysów. I zawsze to samo imię Rozyna; zawsze jedna jest zmartwychwstaniem drugiej.

¹⁰⁷ *mimo straszne przerażenie* – dziś popr.: mimo straszego przerażenia. [przypis edytorski]

– Czy Rozyna nie jest córką tandeciarza¹⁰⁸ Arona Wassertruma? – zapytałem.

– Tak mówią – odparł Zwak – – – – ale Aron Wassertrum miał synów i córki, o których nic nie wiadomo. Także co do matki Rozyny nic nie wiadomo: nie wiadomo, kto był jej ojcem – i również co się z nią stało. W piętnastym roku życia urodziła dziecko i odtąd już się nie pokazała. Jej zniknięcie wiąże się z zabójstwem, które, o ile sobie przypominam, miało miejsce w tym domu. —

Jak dziś jej córka, zawracała ona wtedy głowy niedorosłym chłopcom. Jeden z nich żyje jeszcze – widuję go często – ale imię jego wyszło mi z pamięci. Pozostali wkrótce umarli i myślę, że ona ich wszystkich przedwcześnie powiodła do grobu. Z tego czasu przypominam sobie tylko krótkie epizody, które przesuwają się w mojej pamięci, jak blade obrazy.

Był wtedy na wpół zidiociały człowiek, który nocami chodził od szynku do szynku i wycinał za parę centów gościom sylwetki z czarnego papieru. I gdy go kto upił, człowiek ten wpadał w niewypowiedziany smutek, i wśród łez i łkań, nie słuchając, wycinał zawsze ten sam ostry, dziewczęcy profil, a zużywał na to cały zapas papieru.

Na koniec muszę dodać, o czym dawno zapomniałem, że za dziecinnych lat kochał się on w niejkiej Rozynie, zapewne w babce dzisiejszej Rozynie, i że przez to stracił rozum.

¹⁰⁸ *tandeciarz* – handlarz tandetą, tj. tanimi, byle jakimi towarami z drugiej ręki.
[przypis edytorski]

Policzywszy lata, sędzę, że nie mógł to być nikt inny, tylko babka Rozyny.

Zwak umilkł i w tył się przechylił.

Przeznaczenie w tym domu błądzi dokoła i powraca zawsze do tego samego punktu – przyszło mi do głowy – i wstrętny obraz, który niegdyś widziałem – kota z okaleczoną połową mózgu, a który wciąż kręcił się w koło – stanął mi przed oczyma.

– Teraz będzie Golem – usłyszałem nagle malarza Vrieslanda, który mówił dobitnym głosem.

Wyjął okrągły kawałek drzewa i zaczął go wycinać. Ciężkie zmęczenie padło mi na oczy i odsunąłem swój fotel ze światła w głąb pokoju.

Woda na poncz wrzała w kociołku, a Jozue Prokop napełnił znów szklanki.

Cicho, zupełnie cicho zabrzmiały przez zamknięte okna dźwięki tanecznej muzyki; niekiedy głuchły zupełnie, potem znów się budziły, jak gdyby wiatr je gubił po drodze lub z ulicy do nas donosił. Po chwili spytał mnie muzyk, czy nie chcę się trącić szklankami.

Nie odpowiedziałem jednak – tak zupełnie odeszła mnie wola ruchu, że nawet otworzenie ust leżało poza nią. Zdawało mi się, że śpię, tak opanowała mnie konieczna cisza wewnętrzna. I aby mieć świadomość, że nie śpię, musiałem patrzeć wciąż na błyskający nóż Vrieslandera, który bez przerwy wycinał z drzewa

drobne wzorki.

W oddali szemrał głos Zwaka, który znowu opowiadał najróżniejsze cudowne historie o marionetkach i nadzwyczajne baśnie, które wymyślał dla swoich lalek.

Była również mowa o doktorze Savioli i o znakomitej damie, żonie jakiegoś szlachcica, która skrycie odwiedzała doktora Savioli w tajemniczej pracowni.

I znowu zobaczyłem w myśli szyderską¹⁰⁹, tryumfującą minę Arona Wassertruma.

Rozważyłem, że nie warto zadawać sobie trudu, aby podzielić się ze Zwakiem tym, co się wtedy działo. Chociaż wiedziałem, że wola mi odmówi, pragnąłem jednak teraz spróbować przemówić.

Nagle wszyscy trzej siedzący przy stole spojrzeli uważnie na mnie i Prokop powiedział zupełnie głośno: „On zasnął”! – tak głośno, że brzmiało to prawie, jak gdyby się pytał.

Rozmawiali dalej przytłumionym głosem i poznałem, że mówią o mnie. Nóż Vreslandera tańczył, tu i ówdzie chwycił światło lampy, a odbite promienie raziły mnie w oczy. Padło słowo jak: „Zwariować” – przysłuchiwałem cię rozmowie, prowadzonej w tym kółku.

– Tematów takich, jak o „Golemie” nie należy poruszać przy Pernacie – powiedział z wymówką Jozue Prokop – gdy opowiadał o książce *Ibbur*¹¹⁰, zamilkliśmy i nie pytali więcej.

¹⁰⁹ *szyderski* – dziś popr.: *szydery*. [przypis edytorski]

¹¹⁰ *ibbur* – w pewnych odłamach mistyki żydowskiej słowo to oznacza w

Ręczę, że mu się to wszystko tylko śniło.

Zwak potwierdził:

– Macie zupełną słuszość. Doznajesz wrażenia, jakbyś chciał przekroczyć, ze światłem, zapyłony pokój o ścianach i suficie obciążniętych spróchniałym sukniem i podłodze pokrytej na wysokość stopy¹¹¹ suchym próchnem przeszłości; przy najdelikatniejszym dotknięciu wnet płomień wybucha ze wszystkich kątów.

– Czy Pernath był długo w szpitalu wariatów? Szkoda go, może mieć zaledwie czterdzieści lat – powiedział Vrieslander.

– Tego nie wiem i nie mam pojęcia, skąd on może pochodzić i jaki dawniej był jego zawód. Z postaci przypomina szlachcica starofrancuskiego, dzięki swojej wysmukłej postaci i ostrej brodzie. Przed wielu, wielu laty prosił mnie jeden stary doktor, abym się nim trochę zajął i wyszukał mu małe mieszkanie tutaj w tych ulicach, gdzie by nikt go nie śledził i niepokoił go pytaniami o przeszłych czasach. – Zwak znów spojrział na mnie. – Od tego czasu mieszka tu, reperuje antyki, wycina kamee¹¹² i tym zapewnia sobie trochę egzystencji. To szczęście dla niego, że zapomniał o wszystkim, co ma związek z jego pomieszaniem zmysłów. Nie pytajcie się go przypadkiem nigdy o rzeczy, które

uproszczeniu wzmocnienie duszy żyjącego człowieka przez tymczasowo łączącą się z nią inną sprawiedliwą duszę przebywającą poza ciałem. Zwykle wynika to z potrzeby spełnienia przez duszę bezcielesną jakiejś misji. [przypis edytorski]

¹¹¹ stopa – dawna miara długości, ok. 30 cm. [przypis edytorski]

¹¹² kamea – wypukła rzeźba w szlachetnym lub półszlachetnym kamieniu. [przypis edytorski]

mogłyby w jego pamięci wywołać przeszłość, jak to często mi tłumaczył stary doktor. Mówił mi zawsze: „Wiecie, Zwak, mamy pewną metodę; mógłbym powiedzieć, że zamurowaliśmy z trudem jego chorobę, tak, jak odgradza się miejsca nieszczęścia, gdyż z nimi wiąże się smutne wspomnienie”.

—

Słowa jasełkarza¹¹³ uderzyły mnie jak rzeźnik bezbronne zwierzę i uciskały mi serce brutalnymi, groźnymi rękami.

Zaczął mnie niegdyś nękać głuchy ból – poczucie, jak gdyby mi coś odebrano i jak gdybym, przebywszy w swym życiu długą drogę, jak lunatyk¹¹⁴ zleciał w przepaść. I nigdy nie udało mi się wyjaśnić przyczyny.

Rozwiązanie zagadki leżało teraz przede mną i piekło mnie nieznośnie jak otwarta rana. Za jednym razem znalazłem okropne wyjaśnienie, skąd się wziął mój chorobliwy wstręt do wspominania przeszłości, skąd pochodzi osobliwy, co pewien czas powracający sen, że jestem zamknięty w dziwnym domu, gdzie są izby, z których wyjść niepodobna; dlaczego wreszcie pamięć moja odmawia mi wspomnień o dniach mojej młodości.

Miałem pomieszanie zmysłów. Zastosowano do mnie hipnotyzm¹¹⁵, zamknięto „izbę”, która się łączy z komórkami

¹¹³ *jasełkarz* – lalkarz. [przypis edytorski]

¹¹⁴ *lunatyk* – osoba nieświadomie wykonująca przez sen różne czynności. [przypis edytorski]

¹¹⁵ *hipnotyzm* – właśc. hipnoza, wywoływany za pomocą sugestii stan częściowego wyłączenia świadomości, także i dziś stosowany w psychoterapii. [przypis edytorski]

mego mózgu i stałem się bezdomny wśród otaczającego mnie życia. I nie masz¹¹⁶ nadziei na odzyskanie straconej pamięci. Sprężyny moich czynów i myśli spoczywają w innym, zapomnianym bycie. Pojąłem, że nigdy ich nie poznam: jestem świętą rośliną, gałązką powstałą z obcego korzenia¹¹⁷.

Gdyby mi się udało przemóc¹¹⁸ wejście do tej zamkniętej izby, czy nie wpadłbym wtenczas w ręce upiórów, które tam wpędzono?

Historia o Golemie, którą Zwak opowiadał przed godziną, przeszła mi przez myśl i nagle spostrzegłem ogromny, pełen tajemniczości związek między tą okratowaną izbą bez wyjścia, w której nieznajomy miał mieszkać, a moim wiele znaczącym snem.

Tak, i w tym wypadku, gdym próbował spojrzeć przez zakratowane okno swej duszy, zerwał się sznur, na którym chciałem wspiąć się ku górze. Ten dziwny związek stawał mi się coraz wyraźniejszy i przybierał zarysy czegoś nieopisanie straszego.

Czułem to: istnieją rzeczy nieuchwytnie, powiązane ze sobą i biegnące koło siebie, jak ślepe konie, które nigdy się nie dowiedzą, dokąd prowadzi droga.

¹¹⁶ *nie masz* (daw.) – nie ma (forma nieosobowa). [przypis edytorski]

¹¹⁷ *gałązka powstała z obcego korzenia* – w sadownictwie praktykuje się niekiedy szczepienie gałązek jednego gatunku lub odmiany na pniu drzewa innego gatunku. [przypis edytorski]

¹¹⁸ *przemóc* (daw.) – pokonać. [przypis edytorski]

To samo w Getcie: izba, miejsce, którego wejścia nikt nie może odkryć – jakaś tajemnicza istota, która w niej mieszka i drepce czasami po ulicach, aby między ludźmi siać przerażenie i trwogę.

Vrieslander wciąż wycinał głowę, a drewno trzeszczało pod ostrzem nożyka. Słyszając to, odczuwałem prawie ból i spoglądałem, czy prędko będzie koniec. Gdy głowa w rękę malarza zwracała się w tę i ową stronę, doznawałeś wrażenia, jak gdyby miała świadomość i śledziła po wszystkich kątach. Potem oczy jej spoczęły długo na mnie zadowolone, że nareszcie mnie znalazły. Również i ja nie byłem w stanie odwrócić mego wzroku i spoglądałem nieruchomie¹¹⁹ na drewniane oblicze.

Zdawało się, iż nóż malarza szuka czegoś ze złością, potem stanowczo wyciął jedną linię i rysy drewnianej głowy nabrały nagle strasznego życia.

Poznałem obcą twarz. Była to twarz nieznanego, który mi przyniósł książkę. Potem nie mogłem nic więcej rozróżnić; widok trwał tylko sekundę, czułem, że serce przestaje mi bić, trzepocze się trwożliwie.

Jednak tak, jak wówczas, miałem świadomość tej twarzy.

Ja to sam się nią stałem i leżałem na kolanach Vrieslandera i patrzyłem dokoła. Oczy moje wędrowały po pokoju, a jakaś obca ręka poruszała moją czaszką.

Potem naraz zobaczyłem wzburzoną twarz Zwaka i usłyszałem jego słowa:

¹¹⁹ *nieruchomie* – dziś popr.: *nieruchomo*. [przypis edytorski]

– Na miłość Boską – to Golem!

Powstała krótka walka i chciano siłą wyrwać Vrieslanderowi rzeźbę, lecz ten się bronił i wołał ze śmiechem: „Czego wy chcecie – to jest zupełnie, ale to zupełnie nieudane”. Obrócił się, otworzył okno i wyrzucił głowę na ulicę. Wtedy straciłem przytomność i pograżyłem się w ogromną ciemność, poprzez którą snuły się złote nici, i gdy po długim, długim, jak sądzę, czasie obudziłem się, usłyszałem przede wszystkim dźwięk spadającego na chodnik drewna.

– Tak pan twardo spał, że nie zauważył, jak go trząśliśmy – powiedział mi Jozue Prokop – ponczu już nie ma, wszystko pan popsuł; – gorący ból tego, co przedtem słyszałem, opanował mnie znowu i chciałem wołać, że nie śniło mi się wcale to, com opowiadał o książce *Ibbur*, chciałem wyjąć ją z kasetki i pokazać ją kolegom.

Ale te myśli nie mogły dojść do słowa i powstrzymać ogólnego nastroju, jaki porwał moich gości.

Zwak otulił mnie siłą w palto i zawołał:

– Mistrzu Pernath! chodź z nami do Loisiczka, to ożywi siły pańskiego ducha!

Noc

Bezwiednie pozwoliłem Zwakowi sprowadzić się ze schodów.

Coraz wyraźniej czułem zapach mgły, wciskającej się z ulicy do domu.

Jozue Prokop i Vrieslander szli o parę kroków przed nami i słychać było, jak rozmawiali przed bramą na ulicy.

– Musiał wpaść do ścieku – niech go diabli wezmą.

Wyszliśmy na ulicę i zobaczyłem, jak nachylony Prokop szukał marionetki¹²⁰.

– Cieszy mnie, że nie możesz znaleźć tej głupiej głowy – mruknął Vrieslander.

Stanął przy murze, a gdy wciągał ogień z zapalki do swej krótkiej fajki, twarz jego w małych odstępach czasu świeciła rażąco i znów gaśła. Prokop zrobił mocny ruch ręką, nakazując milczenie, pochylił się jeszcze bardziej, ukląkł prawie na chodniku.

– Cicho, nic nie słyszycie? – Podeszliśmy ku niemu, wskazał gestem ściek kanałowy i przyłożył rękę do ucha, przysłuchując się uważnie. Chwilę staliśmy nieruchomo i nasłuchiwaaliśmy nad otworem.

Nic.

¹²⁰ *marionetka* – lalka poruszana za pomocą sznurków; tu ogólnie: drewniana lalka.
[przypis edytorski]

– Co to było? – szepnął wreszcie stary jasełkarz¹²¹, ale Prokop ujął go natychmiast za łokieć. Przez chwilę trwającą tyle, co uderzenie serca, zdawało mi się, że na dole jakaś ręka stuka w płytę żelazną, zaledwie dosłyszalnie. Gdy w chwilę później zdałem sobie z tego sprawę, wszystko minęło; tylko w piersi mej trwało to dalej, jak echo wspomnienia i zamieniło się powoli w nieokreślone uczucie strachu. Kroki przechodzących przez ulicę rozwiały to wrażenie.

– Idźmy, po co tu stoimy – zauważył Vrieslander. Szliśmy wzdłuż szeregu domów. Prokop szedł niechętnie.

– Dałbym szyję, że pod nami ktoś krzyczał w śmiertelnej trwodze. – Nikt z nas mu nie odpowiedział, lecz czułem, że coś, jak cicha posępna trwoga trzymała nasze języki w kajdanach.

Wkrótce stanęliśmy przed zasłoniętym czerwonym oknem szynku:

Salon Loiziczek.

„Dzisiaj wielgi kohnzert”

było napisane na papierowym transparencie, którego brzeg pokrywały wyblakłe fotografie jakichś dziewcząt. Zanim Zwak położył rękę na klamce, drzwi otworzyły się od wewnątrz i krępy¹²² drab z rozwichrzonym czarnym włosom, bez kołnierzyka, z gołą szyją owiniętą zielonym jedwabnym krawatem i w frakowej kamizelce, zdobnej pękiem świńskich kłów, przyjął nas ukłonami.

¹²¹ *jasełkarz* – lalkarz. [przypis edytorski]

¹²² *krępy* – niski a mocno zbudowany. [przypis edytorski]

– To mi są goście! Panie Szafranek, prędko stół – rzucił, plecami zwrócony do lokalu przepełnionego ludźmi, równocześnie zwracając się do nas z przyjemnym ukłonem.

Brzęczący szum, jak gdyby szmer, co przebiegł przez klawiaturę, był odpowiedzią na te słowa.

– No, no – to mi goście, to mi goście, patrzcie no! – mrucał wciąż krępy chłop do siebie, pomagając nam zdejmować palta. – Tak, tak dziś u mnie zebrała się cała wysoka szlachta wiejska – odpowiedział tryumfalnie na zdziwioną minę Vrieslandera, ukazując wewnątrz, na pewnego rodzaju estradzie, oddzielonej od przedniej części szynku poręczą i dwustopniowymi schodkami, dwóch eleganckich panów w wieczorowych ubraniach.

Obłoki gryzącego dymu tytoniowego unosiły się nad stołami, za którymi przy ścianach długie drewniane ławki były zapełnione obszarpanymi postaciami. prostytutki z przedmieść, nieuczestane, brudne, bose, o dużych piersiach, zaledwie osłoniętych jaskrawymi chustkami, obok sutenerzy w niebieskich wojskowych czapkach, z papierosem za uchem, handlarze była z obrośniętymi pięściami i ociężałymi palcami, w których każdym poruszeniu tkwił niemy język podłości, zwolnieni kelnerzy o beczelnych oczach, dziobaci¹²³ subiekci¹²⁴ w kratkowanych spodniach. —

– Aby panom nikt nie przeszkadzał, postawię wam parawan

¹²³ *dziobaty* – o twarzy noszącej ślady ospy. [przypis edytorski]

¹²⁴ *subiekt* (daw.) – sprzedawca. [przypis edytorski]

hiszpański – – – – zakrakał tubalnym głosem niezgrabiasz i przed stołem, przy którym siedzieliśmy, opuścił ruchomą ścianę oklejoną kołem małych, tańczących Chinek. Skrzypiące dźwięki harfy, gwar w pokoju, sekunda rytmicznej pauzy, śmiertelna cisza, jak gdyby wszyscy wstrzymali oddech.

Po chwili ciszy w szklankach piwa ogniste, gorące pręty żelazne zasyczały, parując – po czym muzyka wzięła górę nad szmerem i pochłoneła go w całości. Jak gdyby nagle powstały, wynurzyły się przed moim wzrokiem z obłoków dymu tytoniowego dwie dziwne postacie. —

Z długą, falującą białą brodą proroka, w czarnej, jedwabnej mycy¹²⁵ na łysinie, jak to nosili starzy żydowscy ojcowie rodzin, ze ślepyimi oczami, mętnie i szklisto zwróconymi ku powale¹²⁶, siedział starzec, poruszał bezdźwięcznie wargami, uderzał suchymi palcami, jakby tępyimi szponami, w struny harfy.

Obok niego, w otłuszczonej, czarnej kitajce¹²⁷, z błyskotkami na szyi i ramionach, symbol obłudnej moralności mieszczańskiej, zgrzybiała postać kobieca z rozciągliwą harmonijką na kolanach.

Dziki chaos dźwięków wypływał z instrumentów, po czym uderzyła melodia, osłabiona samym akompaniamentem. Starzec parę razy zaczerpnął powietrza i rozwarł tak szeroko usta, że

¹²⁵ *myca* – właśc. *mycka*: miękka, okrągła czapka. [przypis edytorski]

¹²⁶ *powala* (daw.) – sufit. [przypis edytorski]

¹²⁷ *kitajka* – tkanina pochodzenia wschodniego a. ubiór z niej. [przypis edytorski]

widać było czarne pieńki zębów. Wolno wyłaniał się z jego piersi dziki bas o specjalnie hebrajskim akcencie gardłowym.

O-krą-głą, niebieską gwiazdę

„Rititit” (pisnęła przeraźliwie postać kobieca i natychmiast złożyła gderliwe wargi, jak gdyby powiedziała za dużo)

Okrażgłą, niebieską gwiazdę,
Rogalik lubię również
Rititit
Czerwoną brodę, Zieloną brodę,
Wszelaką gwiazdę —
Rititit, rititit.

Pary wystąpiły do tańca.

– To jest pieśń o „Borchu z Chomca” – objaśnił nam, śmiejąc się, jasełkarz i uderzał cicho takt cynową łyżką, która w szczególny sposób była przyczepiona do stołu łańcuszkiem. —

– Przed stoma, albo więcej laty dwaj piekarze Czerwona broda i Zielona broda wieczorem w dzień „Szabbes Hagodel¹²⁸” zatruli chleb w kształcie gwiazdek i rogaków, aby wywołać masową śmierć w dzielnicy żydowskiej; lecz „Meszores” – służący gminny – wpadł na to zawczasu, ostrzeżony przez Boga i oddał

¹²⁸ *Szabbes Hagodel* – właśc. *Szabat hagadol*, sobota poprzedzająca żydowskie święto Paschy, tzw. Wielki Szabat. [przypis edytorski]

obydwu przestępców w ręce policji. Na pamiątkę cudownego ocalenia od śmiertelnego niebezpieczeństwa „Landonim” i „Bocherlech” ułożyli tę dziwną pieśń, którą teraz słyszymy, jako kadryla¹²⁹ z lupanaru¹³⁰.

Rititit, rititit!

– „Okragła niebieska gwiazda” – – – coraz głębiej i fantastycznej brzmiało szczekanie starca.

Nagle melodia ucichła i przeszła w rytm czeskiego „szłapaka” – posuwistego tańca, w którym pary przyciskają nawzajem spocone policzki.

– Dobrze! Brawo! Ty tam, łap, hop —

Krzyknął harfiarzom z estrady wysmukły młodzieniec we fraku z monoklem¹³¹ w oku, sięgnął do kieszeni od kamizelki i rzucił w ich kierunku srebrną monetę. Nie trafiła do celu: jeszcze zobaczyłem, jak błysnęła między tańczącymi; tam nagle zniknęła. Jakiś włóczęga – twarz jego wydała mi się znajomą, myślę, że to był ten sam, który podczas deszczowej ulewy stał obok Charouska – wyciągnął rękę, którą dotychczas trzymał spokojnie, poza chustką swej tancerki – z małą zręcznością, nie opuszczając ani jednego taktu muzyki, pochwycił monetę w powietrzu i skarb znalazł się w jego ręce.

¹²⁹ *kadryl* – taniec salonowy z XVIII w. [przypis edytorski]

¹³⁰ *lupanar* – dom publiczny, od łac. *lupa* – prostytutka. [przypis edytorski]

¹³¹ *monokl* – szkło korekcyjne noszone w jednym oku, zazwyczaj przymocowywane łańcuszkiem do kieszeni fraka. [przypis edytorski]

Żaden muskuł¹³² nie drgnął w twarzach wyrostków, tylko dwie, trzy pary w pobliżu roześmiały się cicho.

– Zapewnie ktoś z „Batalionu”, sądząc ze zręczności – powiedział, śmiejąc się, Zwak.

– Mistrz Pernath zapewne nigdy nie słyszał nic o „Batalionie” – rzucił dziwnie pospiesznie Vrieslander i mrugnął na jasełkarza, tak żebym ja tego nie spostrzegł.

Zrozumiałem zupełnie dobrze: było tak jak przedtem w moim pokoju – uważali mnie za chorego i chcieli mnie rozweselić.

I Zwak miał coś opowiedzieć.

Gdy dobry stary patrzył na mnie tak litościwie, gorąco wstrząsnęło to mną aż po serce.

Gdyby wiedział, jak mnie bolało jego współczucie!

Nie dosłyszałem pierwszych słów, od których Zwak rozpoczął opowiadanie – wiem tylko, tak mi jakoś było, jakby krew powoli wypływała ze mnie. Było mi coraz zimniej i nieruchomiałem, jak wówczas, gdy jako drewniana głowa leżałem na kolanach Vrieslandera.

Potem nagle wpadłem w środek opowiadania, które mi dziwnie duszę otulało, jak martwa część jakiejś szkolnej książki.

Zwak zaczął:

– Opowiadanie o uczonym prawniku doktorze Hulbercie i jego batalionie. – – – No, co mam wam powiedzieć: twarz miał pełną brodawek i krzywe nogi, jak jamnik.

¹³² *muskuł* – mięsień. [przypis edytorski]

Jeszcze jako młodzieniec nic nie znał poza nauką.

Z tego, co męcząco zarabiał udzielaniem lekcji, musiał jeszcze utrzymywać chorą matkę. Myślę, że tylko z książek wiedział, jak wyglądają zielone łąki, gaje oraz pagórki pokryte kwiatami i lasy.

Sami wiecie, jak mało promieni słonecznych pada na ciemne uliczki Pragi.

Doktoraty zdał z odznaczeniem: to się rozumie samo przez się. No i z czasem został sławnym jurystą¹³³. Tak sławnym, że wszyscy – sędziowie, notariusze, starzy adwokaci – przychodzili do niego po światło, gdy czego nie wiedzieli. Przy tym żył ubogo, jak żebrak, na poddaszu, którego okno wyglądało na podwórze.

Tak szły lata za latami. Rozgłos doktora Hulberta jako gwiazdy w swej nauce stawał się przysłowiowy w całym kraju. Nikt nie przypuszczał, aby człowiek taki jak on mógł być przystępny tkliwym uczuciom serca, zwłaszcza, że jego włosy już zaczynały siwieć. Nikt nie przypuszczał, aby doktor Hulbert mógł myśleć i mówić o czym innym niż o Pandektach¹³⁴. A właśnie w takich zamkniętych sercach kwitnie najgoręcej tęsknota. Owego dnia, gdy doktor Hulbert cel osiągnął, cel który mu za czasów studenckich wydawał się najwyższy: mianowicie kiedy Najjaśniejszy Pan cesarz wiedeński nadał mu tytuł: *Rector*

¹³³ *jurysta* (daw.) – prawnik. [przypis edytorski]

¹³⁴ *Pandekta* – dział kodeksu Justyniana, spisującego prawo rzymskie. [przypis edytorski]

*magnificus*¹³⁵ naszego uniwersytetu, podawano sobie z ust do ust, że Hulbert się ożenił z młodą, prześliczną panną z zupełnie biednej, ale szlachtetnej rodziny.

I rzeczywiście zdawało się, że szczęście nawiedziło doktora Hulberta. Chociaż jego małżeństwo było bezdzielne, to jednak nosił on swoją młodą żonę na rękach – i największą jego radością było spełniać każde życzenie, jakie mógł wyczytać z jej oczu. —

W szczęściu swoim nie zapomniał jednak bynajmniej, jak to wielu innym się trafia, o cierpiących bliźnich. – „Bóg – miał raz powiedzieć Hulbert – zaspokoił moją tęsknotę; pozwolił mi urzeczywistnić senne marzenie, które jak promień świeciło mi od dzieciństwa; dał mi za żonę najlepszą istotę na ziemi. I chcę, żeby odblask tego szczęścia, o ile to leży w moich siłach – spłynął też na innych”. —

I w końcu przy sposobności zaopiekował się pewnym biednym studentem, niby rodzonym synem. —

Pomyślał sobie, jak by podobny dobry czyn był dla niego samego zbawczy – niegdyś – za dni jego pełnej trosk młodości.

—

Lecz ponieważ na ziemi nieraz czyny mające wszelki pozór dobroci i szlachtetności prowadzą za sobą skutki godne tylko przekleństwa, gdyż nie potrafimy dobrze rozróżnić tego, co nosi w sobie nasiona jadowite od tego, co uzdrowia, stało się również i tutaj, że z pełnego litości dzieła doktora Hulberta powstała dla niego gorzka krzywda. Młoda żona wkrótce rozgorzała skrytą

¹³⁵ *Rector magnificus* (łac.) – najwspanialszy rektor. [przypis edytorski]

miłością do studenta, a nielitościwy los chciał, że gdy Rektor raz niespodzianie wrócił do domu, aby jej na dowód miłości zrobić przyjemność i ofiarować bukiet róż, jako dar imieninowy, zastał ją w ramionach tego, któremu tyle dobrodziejstw wyświadczył. Mówią, że błękitna niezapominajka może stracić na zawsze swój kolor, gdy nagle padnie na nią płowe, siarczane światło błyskawicy, zwiastujące burzę gradową; nic dziwnego, że dusza starego męża oślepla na zawsze w dniu, w którym jego szczęście rozbiło się na szczęty¹³⁶. —

Tego samego jeszcze wieczoru siedział on, on, który dotychczas nie wiedział, co to jest nadużycie, siedział, mówię, tutaj – u „Loisiczka” – prawie nieprzytomny od trunków – aż od świtu. „Loisiczek” stał mu się domem do końca jego zrujnowanego życia. Latem sypiał gdziekolwiek na rusztowaniach nowo budujących się domów, zimą tutaj na drewnianych ławach. —

Tytuł profesora i doktora obojga praw¹³⁷ dyskretnie mu pozostawiono. Nikt nie miał odwagi powiedzieć jemu, niegdyś jednemu z najznakomitszych uczonych, że jego sposób życia sieje zgorszenie. —

Powoli gromadził się koło niego motłoch, stroniący od światła, pędzący życie w dzielnicy żydowskiej – i w ten sposób powstała ta osobliwa grupa, która jeszcze do dzisiejszego dnia

¹³⁶ *szczęty* (daw.) – szczątki, kawałki. [przypis edytorski]

¹³⁷ *obojga praw* – prawa kościelnego (kanonicznego) i świeckiego. [przypis edytorski]

zowie się „batalionem”.

Znajomość prawa, którą doktor Hulbert szerzył teraz w owym kole, stała się oparciem dla wszystkich, którym policja zbyt surowo zaglądała w ręce. – Gdy jakiś świeżo wypuszczony więzień był w niedostatku, kazał mu doktor Hulbert iść zupełnie nago na Rynek Staromiejski i urząd na tzw. Ławicy Rybiej zmuszony był obdarzyć go ubraniem. —

Gdy jakaś bez określonego zajęcia dziewczucha miała być wypędzoną z miasta – natychmiast z porady mistrza wychodziła za mąż za jakiego włóczęgę, który należał do okręgu – i wskutek tego stawała się stałą mieszkanką miasta.

Setki takich wykrętów znał Hulbert, a wobec jego rad policja była bezbronna. Wszystko, co te wyrzutki społeczeństwa „zapracowały” – oddawały stale co do halerza¹³⁸ i centa do kasy wspólnej – co szło na najpilniejsze potrzeby. Nikt nie pozwoliłby tu sobie na najmniejszą choćby nieuczciwość. Być może, że z powodu tej żelaznej dyscypliny – powstała nazwa „batalion”.

Ściśle pierwszego grudnia – w rocznicę nieszczęścia, które spotkało starca – odbywała się w nocy u Loisiczka oryginalna uroczystość. Głowa przy głowie stali tutaj stłoczeni koło siebie: żebracy, włóczęgi, alfonsi, ulicznicy, pijanicy i próżniacy – i panowała cisza jak w czasie nabożeństwa.

Wtedy doktor Hulbert opowiadał im z tego kąta, w którym teraz siedzi oboje muzykantów, tuż pod portretem Jego Cesarskiej Mości – historię swego życia: jak się przebijał

¹³⁸ halerz – drobna moneta używana na terenie Austro-Węgier. [przypis edytorski]

przez nędzę aż cel osiągnął, jak to później stał się zeń *Rector magnificus* itd. Gdy zaś dochodził do miejsca, kiedy z bukietem róż wszedł do pokoju swej młodej żony – aby uczcić dzień jej urodzin oraz pamięć tej godziny, w której ostatecznie ją pozyskał i w której stała się jego ukochaną żoną: wtedy za każdym razem głos odmawiał mu posłuszeństwa i równocześnie z płaczem gwałtownym głowę opuszczał na stół. Zdarzało się wtedy czasami, że jakaś ładacznicą, wstydliwie i po kryjomu, kładła mu w rękę – aby nikt tego dostrzec nie mógł – na pół zwiędły kwiatek. —

Długi czas jeszcze nikt ze słuchaczy się nie poruszał. Ludzie ci są twardzi do płakania¹³⁹, ale oczy spuszczały ku ziemi i niepewnie kręcili palcami.

Pewnego ranka znaleziono doktora Hulberta martwym na ławce nad rzeką Wełtawą. – Zdaje się, że zmarł.

Widzę jeszcze dzisiaj jego pogrzeb przed sobą. Batalion czynił, co mógł, aby wszystko wypadło z największą paradą.

Na czele szedł pedel¹⁴⁰ uniwersytecki w szacie uroczystej: na rękę nosił czerwoną poduszkę ze złotym łańcuchem na niej – a za karawanem w nieprzerwanym szeregu „batalion” bosi, brudny, w łachmanach i w poszarpanym przyodziewku. Jeden z nich posprzedawał wszystkie swoje resztki – i obwinał sobie ciało, nogi i ręce kawałkami starych gazet.

Tak mu ostatni hołd złożyli:

¹³⁹ są twardzi do płakania – sens: rzadko i niechętnie płaczą. [przypis edytorski]

¹⁴⁰ pedel (daw.) – woźny. [przypis edytorski]

Na grobie jego, na cmentarzu, stoi dziś biały głaz, na którym wyryte trzy figury: zbawiciel ukrzyżowany między dwoma łotrami. – Nieznana ręka postawiła ten pomnik. Jak przypuszczają – żona nieboszczyka.

Jednak w testamencie zmarłego uczonego prawnika – przewidziany był legat¹⁴¹, na zasadzie którego każdy z „batalionu” w południe otrzymuje u „Loisiczka” bezpłatną zupę; dla tego celu wiszą tu przy stole łyżki na łańcuchu – a wydrążone na powierzchni stołu małe niecki zastępują talerze. O godzinie dwunastej przychodzi kelnerka z wielką blaszaną sikawką, rozlewa zupę w niecki – a jeżeli kto nie może dowieść, że należy do „batalionu” – z powrotem szprycą¹⁴² zabiera zupę.

O tym stole szeroko po całym świecie rozchodziły się wieści, jako o rzeczy nadzwyczaj zabawnej.

Wrażenie hałasu w lokalu obudziło mnie z letargu¹⁴³. Ostatnie słowa, które mówił Zwak, przewiały jakoś ponad moją świadomością. Widziałem jeszcze, jak poruszał ręce, by pokazać sikawkę, co wylewa i wsiąka¹⁴⁴ płyn, po czym obraży jeły¹⁴⁵

¹⁴¹ *legat* – zapis testamentowy dla osoby niebędącej spadkobiercą. [przypis edytorski]

¹⁴² *szprycą* – duże narzędzie podobne do strzykawki. [przypis edytorski]

¹⁴³ *letarg* – stan śmierci pozornej. [przypis edytorski]

¹⁴⁴ *wsiąka* – dziś powiedziano tu: wciąga. [przypis edytorski]

¹⁴⁵ *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

się przed moimi oczami rozwijać tak szybko i automatycznie, a jednak z taką upiorną wyrazistością – że chwilami zapomniałem zupełnie o sobie i zdawało mi się, że jestem kółkiem w jakimś żyjącym zegarze. —

Cała izba wyglądała jak jeden kłęb ludzkich istot. W górze na estradzie: tuziny panów w czarnych frakach. Białe mankiety, świecące pierścienie. Dragoński¹⁴⁶ mundur z szamerunkiem¹⁴⁷. W głębi kapelusz damski ze strusimi piórami barwy łososiowej.

Poprzez sztachety poręczy – jak młody byczek – patrzył swoją wykrzywioną gębą – Lois. – Spojrzałem: zaledwie mógł się trzymać prosto. I Jaromir był w pobliżu i spoglądał niewzruszony w salę – oparłszy grzbiet ściśle o ścianę boczną, jakby go przytłoczyła jakaś niewidzialna ręka. Postacie nagle zatrzymały się w tańcu: gospodarz musiał im coś krzyknąć, co je przeraziło. Muzyka grała jeszcze, ale ciszej, nie dowierzała już sama sobie. Drżała. Czułeś to wyraźnie. A jednak był na twarzy gospodarza wyraz zdradzieckiej, dzikiej radości. —

– – – – U drzwi wchodowych¹⁴⁸ nagle ukazał się komisarz policji w mundurze. Ramiona rozpostarł, co znaczyło, że nie wypuszcza nikogo. Za nim podoficer policji kryminalnej.

– A więc tutaj tańczą? Pomimo zakazu? Zamykam tę

¹⁴⁶ *dragoński* – przymiotnik od rzeczownika dragon, oznaczającego żołnierza formacji poruszającej się konno, a walczącej z reguły pieszo. [przypis edytorski]

¹⁴⁷ *szamerunek* – ozdoba ubioru w postaci pętli grubej nici a. sznurka naszytych z przodu. [przypis edytorski]

¹⁴⁸ *wchodowy* – dziś popr.: wejściowy. [przypis edytorski]

szpelunkę¹⁴⁹. Chodź ze mną, gospodarzu! A wszyscy, którzy tu są, marsz na policję!

Brzmi to jak komenda.

Kwadratowy gospodarz nic nie odpowiada, ale zdradliwie szyderczy małpi grymas na jego twarzy pozostał dalej.

Tylko jakby zdrętwiał.

Harmonika urwała swą grę i tylko poświstuje chwilami.

I harfa wciąga w siebie swoje dźwięki. Naraz¹⁵⁰ wszystkie twarze ukazują się w profilu: pełne jakiegoś oczekiwania wszystkie się gapią w estradę.

I oto idzie jakaś dostojna czarna postać, która zstąpiła z paru stopni estrady – i kroczy powoli wprost do komisarza.

Oczy podoficera policji kryminalnej zawisły jak zakłete na powolnie¹⁵¹ stąpających czarnych, lakierowanych bucikach.

Kawaler o jeden krok zatrzymał się przed komisarzem – i znudzonym wzrokiem przygląda mu się od stóp do głów i od głów do stóp.

Inni młodzi panicze ze szlachty na estradzie przechylili się przez barierę i pokrywają śmiech jedwabnymi chusteczkami.

Rotmistrz¹⁵² dragonów kładzie sztukę monety w oko – i

¹⁴⁹ *szpelunka* – właśc. *spelunka*, podejrzany lokal, od łac. *spelunca*: jaskinia. [przypis edytorski]

¹⁵⁰ *naraz* – nagle. [przypis edytorski]

¹⁵¹ *powolnie* – dziś popr.: *powoli*. [przypis edytorski]

¹⁵² *rotmistrz* – stopień wojskowy w kawalerii, odpowiednik kapitana. [przypis edytorski]

dziewczynie, która stoi pod nim koło estrady, wyziewa¹⁵³ dym swego cygara w jasne warkocze. —

Komisarz policji zarumienił się i przy sposobności dokładnie się przygląda perle na koszuli arystokraty; nie jest w stanie znieść obojętnego, pozbawionego blasku spojrzenia tej gładko wygolonej, nieruchomej twarzy z orlim nosem.

Wytrąca go ze spokoju. Wali nim o ziemię.

Grobowe milczenie w zakładzie staje się coraz bardziej dręczące.

– Tak wyglądają posągi rycerzy, co z rękami na krzyż leżą na kamiennych grobach w kościołach gotyckich – szepcze malarz Vrieslander, spoglądając na kawalera.

W końcu arystokrata przerywa milczenie. —

– Eh – hm! – naśladuje głos gospodarza – Tek, tek, to są moje goście, to widać!

Wrzaskliwy chichot wybucha w lokalu, aż szklanki dzwonią; andrusy¹⁵⁴ aż się za brzuchy trzymają ze śmiechu. Butelka jakaś leci na ścianę i pęka. Czworograniasty¹⁵⁵ szynkarz powiadamia nas pełnym czci najwyższej głosem:

– Jego Wysokość Jaśnie Oświecony książę Ferri Athenstädt.

Książę podał urzędnikowi kartę wizytową. Nieszczęśliwy ją przyjął, salutował kilkakrotnie i bardzo pragnął dać drapak¹⁵⁶.

¹⁵³ *wyziewać* – tu: wydmuchiwać. [przypis edytorski]

¹⁵⁴ *andrus* (daw.) – łobuz. [przypis edytorski]

¹⁵⁵ *czworograniasty* – czworoboczny. [przypis edytorski]

¹⁵⁶ *dać drapak* – uciec. [przypis edytorski]

Na nowo cisza, tłum przysłuchuje się bez oddechu, co się dalej stanie.

Kawaler mówi znów.

– Damy i panowie, których Pan tu widzi zebranych – eh, eh – to są moje miłe i przyjemne goście! Jego Wysokość niedbałym ruchem ręki wskazuje zgromadzoną gawiedź¹⁵⁷:

– czy nie zechciałby pan, panie komisarzu – eh – być przedstawiony temu państwu?

Komisarz odmawia z przymuszonym uśmiechem, szepce coś przy okazji o „smutnym obowiązku” i ostatecznie kończy tymi słowy¹⁵⁸:

– Widzę, że tu się wszystko wcale¹⁵⁹ przyzwoicie odbywa.

Słowa te budzą życie w rotmistrzu dragonów: spieszy w głąb po kapelusz damski ze strusimi piórami – i w następnej chwili wśród wybuchów śmiechu młodych paniczów wyciąga Rozynę na środek sali, objąwszy ją ramieniem. —

Rozyna chwieje się od trunku; oczy ma zamknięte. Wielki, drogi kapelusz leży jej krzywo na głowie; ona zaś nie ma na sobie nic prócz długich różowych pończoch – i męski frak na gołym ciele. —

Na dany znak muzyka jak szalona gra „Rititit, Rititit” – – – i pochłania gardłowy krzyk, który wydał stojący pod ścianą głuchoniemy Jaromir, zobaczywszy Rozynę.

¹⁵⁷ *gawiedź* – tu: tłum. [przypis edytorski]

¹⁵⁸ *tymi słowy* – dziś popr. forma N. lm: tymi słowami. [przypis edytorski]

¹⁵⁹ *wcale* (daw.) – całkiem. [przypis edytorski]

—
– Chcemy wyjść!

Zwak woła kelnerkę.

Hałas powszechny zagłusza jego słowa.

Sceny wydają mi się fantastyczne jak pod działaniem opium.

Rotmistrz trzyma półnagą Rozynę – w ramionach i powoli krąży z nią do taktu. —

Tłum z szacunkiem robi im miejsce.

Z ław słyhać poszmer: „Loisiczek, Loisiczek”! Szyje się wydłużają i do tańczącej pary przyłącza się druga, jeszcze osobliwsza. Po niewieściemu wyglądający chłopiec w różowym trykocie, z długim jasnym włosiem aż do łopatek, pod malowaną jak u dziewczki twarzą i wargą, z oczami wywróconymi kokieteryjnym zezem – pożądliwie się zwiesza na piersiach księcia Athenstädta. —

Słodkawy walc kwili na arfie¹⁶⁰.

Dziki obrzydzenie do życia zaciska mi gardło.

Z trwogą oczy moje szukają drzwi: komisarz stoi tam odwrócony, aby nic nie widzieć – i pospiesznie coś szepcze z kryminalnym policjantem, który coś mu podaje. Słyhać niby uderzenie ręki o rękę.

Obaj śledzą w głębi krostowatą fizjonomię Loisa, który chwilowo stara się ukryć, potem zaś zdrętwiały – z twarzą białą jak kreda i wykrzywioną od zgrozy – stoi dalej na miejscu.

Jakiś obraz mi się nagle przypomina i natychmiast gaśnie:

¹⁶⁰ *arfa* – dziś popr.: harfa. [przypis edytorski]

obraz, jak Prokop spogląda (widziałem to przed godziną) – poprzez sztachety kanałowe nachylony – i krzyk śmiertelny dochodzi nas spod ziemi!

Chcę wołać i nie mogę. Zimne palce wcisnęły mi się w usta i zaginają mi język w dół na podniebienie tak, jak bryła, coś zasłania mi krtań i słowa powiedzieć nie mogę.

Palców nie mogę dostrzec; wiem, że są niewidzialne, a jednak odczuwam je jako coś cielesnego. I jasno to tkwi w mej świadomości: są to palce tej upiornej ręki, która mi w mym pokoju na Kogucim Zaułku podała księgę *Ibbur*¹⁶¹.

– Wody, wody – krzyczy Zwak koło mnie. Trzymają mi głowę i za pomocą świecy starają się zajrzeć mi w źrenice.

– Do mieszkania go odnieść, doktora sprowadzić – archiwariusz Hillel zna się też na takich rzeczach – – do niego pójdźmy z nim – – radzą tak szeptem.

Leżę nieruchomy jak trup na narach¹⁶², a Prokop i Vrieslander wynoszą mnie na ulicę.

¹⁶¹ *ibbur* – w pewnych odłamach mistyki żydowskiej słowo to oznacza w uproszczeniu wzmocnienie duszy żyjącego człowieka przez tymczasowo łączącą się z nią inną sprawiedliwą duszę przebywającą poza ciałem. Zwykle wynika to z potrzeby spełnienia przez duszę bezcielesną jakiejś misji. [przypis edytorski]

¹⁶² *nary* (daw.) – prycza, legowisko, być może przenośne. [przypis edytorski]

Jawa

Zwak, uprzedziwszy nas, pobiegł po schodach i usłyszałem, jak Miriam, córka archiwariusza Hillela, trwożnie go wypytywała, on zaś starał się ją uspokoić.

Nie zadawałem sobie trudu, by usłyszeć, co oni z sobą mówili, i raczej odgadłem, niż w słowach rozumiałem, że Zwak opowiadał, jakoby zdarzyło mi się nieszczęście i przyszli prosić, aby mi dano pierwszą pomoc i przywrócono do przytomności.

Ciągle jeszcze nie mogłem ruszyć żadnym członkiem¹⁶³ ciała, a niewidzialne palce trzymały mnie za język; ale myśl moja była mocna i pewna, a poczucie zgrozy zupełnie mnie odeszło. Wiedziałem dokładnie, gdzie byłem i co się ze mną stało – i nieraz wydawało mi się to osobliwością, że mnie wniesiono tu jak umarłego, wraz z narami¹⁶⁴ złożono w pokoju Szemajaha Hillela i pozostawiono samego.

Ciche, naturalne zadowolenie, jakiego się doznaje po długiej wędrówce, napełniało moją duszę.

W izbie było ciemno, a ramy okien unosiły się rozlewnym rysunkiem w formie krzyża, odbijając od matowo-świecącego dymu, który wił się z ulicy.

Wszystko mi się wydawało samo z siebie zrozumiałym

¹⁶³ członki (daw.) – kończyny. [przypis edytorski]

¹⁶⁴ nary (daw.) – prycza, legowisko, także przenośne. [przypis edytorski]

i nie dziwiło mnie ani to, że Hillel wszedł z żydowskim siedmiopłomiennym świecznikiem sobotnim¹⁶⁵, ani że mi życzył „Dobry wieczór” jak komuś, czyjego przyjścia oczekiwał.

To, na co przez cały czas, odkąd mieszkałem w tym domu, nie zwróciłem uwagi, jako na rzecz szczególną, mimo żeśmy się spotykali na schodach dwa – trzy razy w tygodniu, uderzyło mnie teraz z wielką siłą, gdy Hillel tak chodził w tę i ową stronę pokoju, niektóre przedmioty na komodzie ustawiał i wreszcie swoim świecznikiem zapalał drugi, również siedmioramienny¹⁶⁶.

Mianowicie: zauważyłem harmonię jego ciała i członków oraz szczupły, delikatny rysunek jego twarzy ze szlachetnym układem czoła. Mógł, jak to widziałem teraz przy blasku świecy, mieć lat nie więcej ode mnie: najwyżej 45.

– Przyszedłem o parę minut za wcześnie – zaczął po chwili – inaczej bym już przedtem światła zapalił.

Wskazał na oba świeczniki, zbliżył się do nar i skierował swe ciemne, głęboko osadzone oczy, jak się zdaje, na kogoś, co mi w głowach¹⁶⁷ stał lub klęczał, ktoś kogo jednak dostrzec nie byłem w stanie. Przy tym poruszał ustami i bez głosu wymówił jakieś zdanie.

Natychmiast niewidzialne palce oswobodziły mój język i

¹⁶⁵ z żydowskim siedmiopłomiennym świecznikiem sobotnim – siedmioramienny świecznik (menora) stanowi podstawowy symbol judaizmu. [przypis edytorski]

¹⁶⁶ swoim świecznikiem zapalał drugi, również siedmioramienny – siedmioramienny świecznik (menora) stanowi podstawowy symbol judaizmu. [przypis edytorski]

¹⁶⁷ w głowach – od tej strony łóżka, gdzie znajduje się głowa leżącego człowieka. [przypis edytorski]

letarg¹⁶⁸ przemiął: odwróciłem się i spojrzałem poza siebie: nikogo prócz Szemajaha Hillela oraz mnie w pokoju nie było.

A więc jego „ty” i uwaga, że mnie oczekiwał, dotyczyły tylko mojej osoby?

Daleko szczególnie od tych obojga okoliczności działało na mnie to, że nie byłem w stanie doznać mniejszego zdziwienia z tego powodu.

Hillel odgadł jawnie moje myśli, gdyż uśmiechał się przyjaźnie, przy czym pomógł mi wstać z nar i ręką wskazał na krzesło, mówiąc:

– Nie ma tu nic dziwnego, straszliwie działają na ludzi tylko rzeczy upiorne, Kiszuf¹⁶⁹; życie drapie i parzy jak włosiennica¹⁷⁰, ale słoneczne promienie świata duchowego są łagodne i ogrzewające.

Milczałem, gdyż nie wpadła mi na myśl żadna odpowiedź. Zdaje się też, że z mojej strony żadnych słów nie oczekiwał Hillel, gdyż mówił dalej.

– I srebrne zwierciadło, gdyby miało czucie, odczuwałoby wielki ból w chwili polerowania. Stawszy się gładkim i promiennym – odbija ono wszelkie obrazy, jakie w nie wpadają – bez cierpienia i wzruszenia.

Błogosławiony jest człowiek – mówił dalej milcząco – który o

¹⁶⁸ *letarg* – stan śmierci pozornej. [przypis edytorski]

¹⁶⁹ *kiszuf* (hebr.) – czary. [przypis edytorski]

¹⁷⁰ *włosiennica* – ubranie z gryzącej wełny, używane przez pokutników. [przypis edytorski]

sobie może powiedzieć: Jestem wypolerowany (jak zwierciadło).

Chwilę pograżył się w myślach i słyszałem – jak szeptał parę słów po hebrajsku: *Liszuo secho kiwisi adoszem*¹⁷¹. Po czym znów jego głos brzmiał mi w uszach wyraźnie:

– Przyszedłeś do mnie w głębokim śnie, a ja zbudziłem cię do jawy. W Psalmie Dawida powiedziano: „Tedy rzekłem sam w sobie: teraz zaczynam! Prawica to Boga, co uczyniła tę zmianę”.

Gdy ludzie budzą się w swoich łóżach, roją, że otrząsnęli się ze snu, a nie wiedzą, że padają jako ofiara swych zmysłów i stają się łupem nowego, znacznie głębszego snu, niż ten, z którego wyszli: Jest tylko jeden prawdziwy stan jawy; ten mianowicie, do którego się teraz przybliżasz.

Gdybyś o tym powiedział ludziom, to by ci odparli, żeś chory, gdyż nie są w stanie cię zrozumieć. Jest to więc rzecz bezcelowa i smutna – mówić im o tym.

Oni płyną niby potok,
A są jak gdyby sen,
Niby trawa, która wnet powiędnie —
A pod wieczór będzie ścięta – i uschnięta.¹⁷²

– Kto był ten nieznajomy, co mnie szukał u mnie w domu i

¹⁷¹ *liszuo secho kiwisi adoszem* (hebr.) – pomocy Twojej oczekuję, Panie. [przypis edytorski]

¹⁷² *Oni płyną niby potok (...)* – parafraza bądź tłumaczenie *Psalmu 90(89)*. [przypis edytorski]

dał mi księgę *Ibbur*¹⁷³. Czym go widział na jawie, czy we śnie? – chciałem zapytać, lecz Hillel mi odpowiedział, zanim swą myśl wyraziłem w słowach:

– Przypuść, że człowiek, który przyszedł do ciebie i którego zowiesz Golem¹⁷⁴, oznacza przebudzenie umarłego poprzez najwewnętrzniejsze życie duchowe. Wszelka rzecz na ziemi – niczym innym nie jest, jeno¹⁷⁵ symbolem, przyodzianym w proch. – Jak ty myślisz okiem? Wszelką formę, którą spostrzegasz, myślisz okiem. Wszystko, co zgęstniało do formy, było przedtem istotą widmową. —

Czułem, że te pojęcia, co dotychczas siedziały w moim mózgu jak na kotwicy, zerwały się i jak okręty bez steru pognały po bezbrzeżnym morzu.

Pełen spokoju Hillel mówił dalej:

– Kto jest przebudzony, ten nie może już umrzeć; sen i śmierć są dla niego tym samym.

– Już nie może umrzeć? – głuchy ból mną zaszarpał.

– Dwie ścieżki biegną w dal obok siebie: droga życia i droga

¹⁷³ *ibbur* – w pewnych odłamach mistyki żydowskiej słowo to oznacza w uproszczeniu wzmocnienie duszy żyjącego człowieka przez tymczasowo łączącą się z nią inną sprawiedliwą duszę przebywającą poza ciałem. Zwykle wynika to z potrzeby spełnienia przez duszę bezcielesną jakiejś misji. [przypis edytorski]

¹⁷⁴ *golem* – w legendach żydowskich istota stworzona na podobieństwo człowieka, zazwyczaj z gliny, żywa lecz pozbawiona duszy i dlatego posłuszna poleceniom człowieka, który ją stworzył. Stworzenie golema wiązało się z powtórzeniem Boskiego procesu kreacji. [przypis edytorski]

¹⁷⁵ *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

śmierci. Otrzymałeś księgę *Ibbur* i czytałeś ją. Dusza twoja stała się ciężarna duchem żywota – słyszałem jego słowa.

– Hillelu, Hillelu, daj mi iść drogą, którą idą wszyscy ludzie: drogą śmierci! – Dziko we mnie krzychało wszystko.

Twarz Szemajaha Hillela stała się nieruchoma z powagi:

– Ludzie nie kroczą żadną drogą, ani drogą życia, ani drogą śmierci. Pędzą jak plewy w wichrze. W Talmudzie¹⁷⁶ stoi: „Zanim Bóg stworzył świat, postawił zwierciadło przed istotami. Istoty widziały w nim duchowe cierpienia bytu i rozkosze, jakie z nich wynikają. Więc jedni wzięli na się cierpienie. Ale inni wzbranieli się – i tych Bóg wykreślił z księgi żywota”. Ty **idziesz** pewną drogą – i wkroczyłeś na nią z wolnej woli – choć może sam teraz o tym już nie wiesz. Jesteś powołany sam przez siebie! Nie trap się: stopniowo, gdy przychodzi poznanie, przychodzi też wspomnienie.

Poznanie i wspomnienie – to jedno i to samo.

Przyjacielski, prawie miłościwy ton, który zabrzmiał w mowie Hillela, przywrócił mi spokój i czułem się bezpieczny jak chore dziecko, które wie, że ojciec przy nim siedzi.

Spojrzałem w górę i spostrzegłem, że naraz zjawiły się w izbie liczne postacie i otoczyły nas kołem: niektóre w białych koszulach śmiertelnych, jak to nosili starzy rabini¹⁷⁷, inne w

¹⁷⁶ *Talmud* – w judaizmie księga zawierająca komentarz do *Tory* (pierwszych pięciu ksiąg Biblii). [przypis edytorski]

¹⁷⁷ *rabin* – (z hebr. *rabbi*, czyli nauczyciel), funkcja religijna w judaizmie. [przypis edytorski]

kapeluszu trójkątnym, w trzewikach ze srebrnymi sprzączkami – ale Hillel przesunął rękę przed moimi oczyma – i pokój znów stał się pusty.

Potem wyprowadził mnie na schody i dał mi zapaloną świecę, abym mógł sobie drogę oświetlić do swego pokoju.

—

Położyłem się do łóżka i chciałem zasnąć, ale sen nie przychodził – i zamiast tego wpadłem w szczególny stan, który nie był ani marzeniem, ani czuwaniem, ani snem.

Światło zgasilem, ale pomimo to w izbie wszystko było tak wyraźne, że mogłem najdokładniej rozróżnić każdą pojedynczą formę. Przy tym czułem się doskonale błogo, wolny od pewnego męczącego niepokoju, co niejednemu sprawia katusze, gdy się znajdzie w podobnej sytuacji.

Nigdy przedtem w życiu swoim nie byłbym w stanie myśleć tak ściśle i wyraźnie, jak właśnie w tej chwili. Rytm zdrowia toczył się poprzez moje nerwy i porządkował moje myśli w szeregi, jak wojsko, które jeszcze czeka na rozkaz.

Dość mi było tylko zawołać, a przychodziły do mnie i wykonywały to, czegom pragnął.

Przypomniała mi się naraz¹⁷⁸ *gemma*¹⁷⁹, którą w ostatnich tygodniach próbowałem wyciąć z awenturynu¹⁸⁰ – nie mogłem

¹⁷⁸ *naraz* (daw.) – nagle. [przypis edytorski]

¹⁷⁹ *gemma* – kamień półszlachetny lub szlachetny o owalnym kształcie, ozdobiony reliefem. [przypis edytorski]

¹⁸⁰ *awenturyń* – minerał: rzadka, czerwona lub zielona odmiana kwarcu. [przypis

jednak dojść do żadnego wyniku, gdyż nie udawało mi się nigdy rozproszonych błysków minerału pokryć rysami twarzy, jaką sobie wyobraziłem – i oto w jednym mgnieniu ujrzałem rozwiązanie i wiedziałem dokładnie, jak mam prowadzić dłutko, by opanować strukturę masy.

Niegdyś niewolnik hordy fantastycznych wrażeń i sennych widziadeł, o których nie wiedziałem, czy to pojęcia, czy też uczucia: nagle uczułem się jako pan i król we własnym państwie.

Zadania z rachunku, które wprzód¹⁸¹ stękając na papierze mogłem rozwiązać, wpadały mi naraz do głowy, niby w igraszce¹⁸² prowadząc do rezultatu. Wszystko przy pomocy jakiejś nowej, zbudzonej we mnie zdolności, żem widział i ustanawiał to właśnie, co mi było potrzebne: cyfry, formy, przedmioty, barwy.

A gdy chodziło o kwestię, które za pomocą tych środków – nie dawały się rozstrzygać – problemy¹⁸³ filozoficzne itp. – miejsce wewnętrznego wzroku zajmował słuch, przy czym głos Szemajaha Hillela brał na siebie rolę mówiącego. Udzielone mi były uświadomienia najrzadszego rodzaju. —

Com tysiąc razy w życiu nieuważnie jako puste słowo puszczał mimo ucha, teraz w najgłębszych fibrach¹⁸⁴ mej istoty tkwiło we

edytorski]

¹⁸¹ *wprzód* (daw.) – najpierw. [przypis edytorski]

¹⁸² *igraszka* – tu: zabawa. [przypis edytorski]

¹⁸³ *problematy* – zagadnienia. [przypis edytorski]

¹⁸⁴ *fibra* (daw., z łac.) – włókno. [przypis edytorski]

mnie jako wartość; to, czegom nauczył się „powierzchniowie”, w jednej błyskawicy „ujmowałem” jako swoją „własność” wewnętrzną. Budowy słów tajemnica, której nie przeczuwałem, obnażyła się przede mną.

„Wysokie” ideały ludzkości, które z dobroduszną radcowsko-handlową miną, zakleksano¹⁸⁵ orderem na patetycznej piersi, z góry mi chciały się narzucić: pokornie teraz zdjęły z pyska maskarę¹⁸⁶ i tłumaczyły się przede mną: w istocie one są żebrakami, ale zawsze mają przy sobie ożogi¹⁸⁷ – dla jeszcze gorszego oszustwa.

Czy ja nie śnię? Czy nie rozmawiałem z Hillelem?

Wyciągnąłem rękę do krzesła obok mego łóżka. Wszystko jak należy: tu leży świeca, którą mi dał Szemajah; szczęśliwy jak mały chłopiec w noc Bożego Narodzenia, który się przekonał, że jego ulubiony pajacyk rzeczywiście i żywo jest przy nim obecny – na nowo się wtuliłem w poduszki.

I jak wyżeł wciskałem się coraz głębiej w gęstwinę duchowych zagadek, które mnie otaczały dokoła.

Naprzód próbowałem dotrzeć do tego momentu mego życia, do którego najdalej sięga moja pamięć. Tylko z tego punktu – sądziłem – była dla mnie rzeczą możliwą spojrzeć w tę część mego bytu, która dla mnie, przez szczególniey zbieg warunków

¹⁸⁵ *zakleksać* – w oryginale *bekleckszen*: upaprać, zasmolić; prawdopodobnie winno tu być: przylepić. [przypis edytorski]

¹⁸⁶ *maskara* (daw.) – maska. [przypis edytorski]

¹⁸⁷ *ożóg* – kij służący za pogrzebacz. [przypis edytorski]

mego losu, leży utajona w mroku.

Ale jakkolwiek dręczyłem się nad tym, nie mogłem iść dalej, jak po za to, że się kiedyś znalazł w ponurym podwórzu naszego domu i przez łuk bramy oglądał tandeciarnię Arona Wassertruma: tak jak gdybym od stu lat jako snycerz¹⁸⁸ kamei¹⁸⁹ mieszkał w tym domu – zawsze jednakowo stary człowiek, który nigdy nie był dzieckiem.

Chciałem już dać temu pokój¹⁹⁰ jako próbom beznadziejnym i przerwać to szperanie po warstwach minionej przeszłości: gdy naraz¹⁹¹ z promienną jasnością pojąłem, że istotnie w mojej pamięci szeroki gościniec zdarzeń kończy się łukowym sklepieniem pewnej bramy, ale błyska mi też cały szereg maleńkich ścieżek, które dotychczas stale towarzyszyły drodze głównej, a których ja dotąd nie zauważyłem:

– Skądże – krzyknęło mi coś prawie w ucho – masz wiadomości, dzięki którym wleciesz życie? Kto cię nauczył wycinania kamei, kto cię nauczył sztuki rytowniczej i wszystkiego innego? Czytać, pisać, mówić – i jeść – i chodzić, oddychać, myśleć, czuć?

Wnet uchwyciłem się wskazówki mego wnętrza. Systematycznie szedłem wstecz przez moje życie. —

¹⁸⁸ *snycerz* – tu w znaczeniu ogólnym: rzeźbiarz. [przypis edytorski]

¹⁸⁹ *kamea* – wypukła rzeźba w szlachetnym lub półszlachetnym kamieniu. [przypis edytorski]

¹⁹⁰ *dać czemuś pokój* – zrezygnować z czegoś. [przypis edytorski]

¹⁹¹ *naraz* (daw.) – nagle. [przypis edytorski]

Zmusiłem się w odwróconej, ale nieprzerwanej kolei zdarzeń wyrozumieć¹⁹², co się stało ostatnio, jaki był ku temu punkt wyjścia, co stało się przedtem i tak dalej?

Znowu dotarłem do łuku pewnej bramy.

Teraz – teraz! Tylko mały skok w próżnię, w otchłań, która mnie oddzielała od zapomnianego; ten mały skok powinien bym zrobić. Naraz ukazał mi się obraz, który dostrzegłem przy powrotnym biegu swoich myśli: Szemajah Hillel przeciągnął mi rękę przed oczami – ściśle tak, jak przedtem na dole w swym pokoju. —

I wszystko się zatarło. Nawet pragnienie dalszych poszukiwań.

Tylko jedno osiągnąłem jako zysk trwały i niezmienny; świadomość, że szereg przygód w życiu to ślepa ulica, jakkolwiek zdaje się szeroka i dogodna do przechadzki.

Drobne to są, ukryte szczeble, co prowadzą do zatraconej ojczyzny: to, co delikatną, prawie niewidzialną farbą w naszym ciele jest wyryte – nie zaś ohydna blizna, jaką pozostawia po sobie raszpla¹⁹³ życia zewnętrznego – to właśnie ukrywa rozwiązanie ostatecznych tajemnic. —

Podobnie jak mógłbym wyobrazić sobie ruch wstecz ku dniom mojej młodości, jak gdybym z elementarza uczył się abecadła w odwrotnym porządku od Z do A, aby z tego punktu dojść do szkoły, w której zacząłem się uczyć – tak

¹⁹² *wyrozumieć* – dziś popr.: zrozumieć. [przypis edytorski]

¹⁹³ *raszpla* – pilnik charakteryzujący się grubymi nacięciami. [przypis edytorski]

samo, zrozumiałem, musiałbym też umieć powędrować do innej dalekiej krainy, która leży po tamtej stronie wszelkiego myślenia.

Glob świata toczył się z trudem na moich barkach. I Herkules¹⁹⁴ jakiś czas dźwigał na głowie sklepienie niebios, przyszło mi do głowy – i utajony sens baśni odsłonił mi się przejrzyscie. I jak się na nowo podstępem wyzwolił, mówiąc do olbrzyma, atleta: „Pozwól mi jeno¹⁹⁵ wiązką szpagatu¹⁹⁶ głowę obwiązać, aby mi czaszka nie pękła od tego straszliwego ciężaru” – tak może byłaby jakaś ciemna droga, którą udałoby mi się zejść z tej stromej skały.

Naraz¹⁹⁷ opanowała mnie mocna podejrzliwość: nie chciałem już ślepo ufać kierownictwu swoich myśli. Położyłem się na grzbiecie – i palcami zasłoniłem oczy i uszy, aby mnie zmysły nie prowadziły na manowce. Ażeby zabić wszelką myśl.

Jednakże woła moja łamała się o żelazne prawo: mogłem tylko wypędzać jedną myśl przy pomocy drugiej – i skoro tylko jedna marła, druga wnet wyłaniała się z mogiły tamtej. Uciekałem w huczący potok swej krwi, ale myśli szły za mną aż do nóg; ukryłem się w kowadle swego serca: ale trwało to jedną chwilę, odkryły mnie natychmiast.

¹⁹⁴ *Herkules* – mitologiczny heros, jednym z jego czynów było tymczasowe zastąpienie Atlasa w podtrzymywaniu sklepienia niebieskiego. [przypis edytorski]

¹⁹⁵ *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

¹⁹⁶ *szpagat* – rodzaj cienkiego, mocnego sznurka. [przypis edytorski]

¹⁹⁷ *naraz* (daw.) – nagle. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.